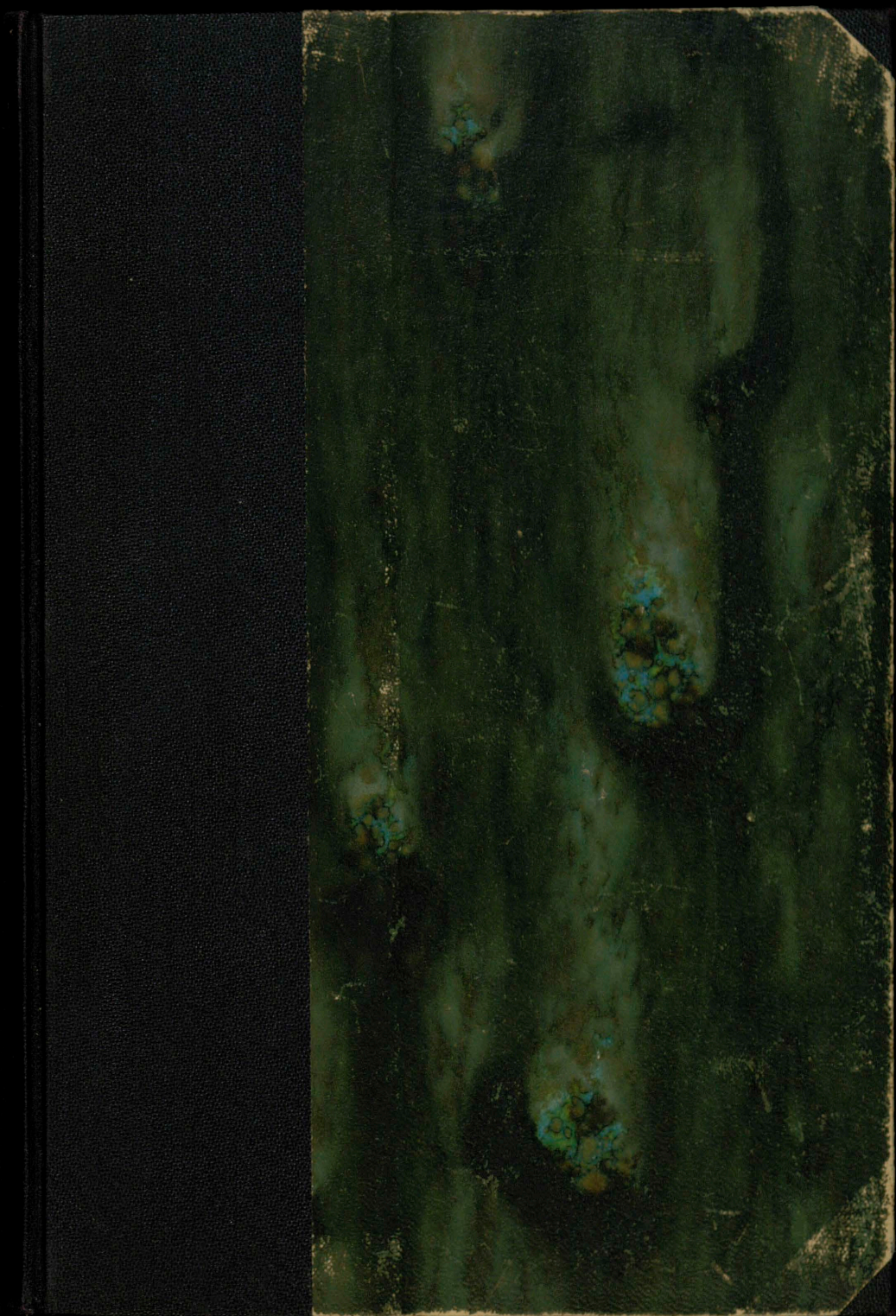




WYDZIAŁ
POLSKIE

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ
WYDZIAŁ
WYDZIAŁ

WESELE PODLASKIE

OBRAZEK LUDOWY

W PIĘCIU AKTACH A SZEŚCIU ODSŁONACH

napisał

Dr Wincenty Smoczyński.



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI Drukarni „CZASU”
pod zarządem J. Łakocińskiego.
1881.

116



821.162.1-2

NAKŁADEM AUTORA,

który zastrzega sobie prawo własności i prawo do przedstawienia na scenach.

KS. JANOWI KALIŃSKIEMU

BISKUPOWI CHEŁMSKIEMU,

zamordowanemu na wygnaniu w Wjatce d. 19 października 1866 r.

oraz

OJCU MICHAŁOWI DĄBROWSKIEMU

PROWINCYALOWI BAZYLIANÓW DYECEZYI CHEŁMSKIEJ,

Tułowowi, zmarłemu w Rzymie dnia 20 października 1875 roku

i

WSZYSTKIM MĘCZENNIKOM I WYZNAWCOM UNITOM

jako oznakę najgłębszej czci

składa

Autor.

Słówko od autora.

*Czytelniku! jeżeli nie jesteś człowiekiem dobrej woli,
to nie czytaj tej książeczki; lecz jeżeli Ci jest Ojczyzna
drogą, jeżeli miłujesz Wiarę swoją katolicką, to przeczytaj
cierpliwie do końca, a wtedy nie rzucisz na autora ka-
mieniem.*

Tenczynek, 7 listopada 1880 r.

OSOBY:

JĘDRZEJ DĘBCZUK, rolnik	}	P o d l a s i a n i e	
JADWIGA, jego żona			
NATALIA, ich córka			
MAKRYNA NIECZUKOWA, wdowa			
IGNACY, jej syn			
MAKSYM LUNCZAK, syn rolnika			
GRZEGÓRZ OLTARCZUK, sołtys			
ELIASZ PIŃCZUK, radny	}	K r a k o w i a n i e	
FILIP RYBCZUK, rolnik			
WALENTY FIGUŁKA, kościelny z Podlasia			
STANISŁAW SKOWRONEK, rolnik			
ZOFIA, jego żona			
MAŁGOSIA			} ich córki
KASIA			
STASZEK, ich syn	}	w i ę z n i o w i e n a S y b e r y i .	
JANEK, ich krewny			
MARYAN, FRANCISZEK,			
Ksiądz JAN, MICHAŁ, WIKTOR			
OREST MAMONTOW, naczelnik powiatu.			
NIKAJ MORDOW, jego pisarz.			
SZMUL, arendarz.			
SIEMION GAWRYŁOW, nadzorca nad więźniami.			
Starzec.			
Dwóch Muzykantów.			
Żandarm.			
Trzech kozaków buryatów.			

Mężczyźni, kobiety, chłopcy i dziewczęta w krakowskich
i podlaskich ubraniach.

AKT PIERWSZY.

N A R A D A .

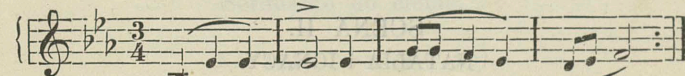
Rzecz dzieje się na Podlasiu.

*Scena przedstawia ogród a z boku dom wiejski. Stolki przy
ścianie domu. Pod drzewem siedzi Natalia ubrana po wiej-
sku w gorseciku, włosy w dwóch warkoczach spadają jej
na plecy, szyje i śpiewa.*

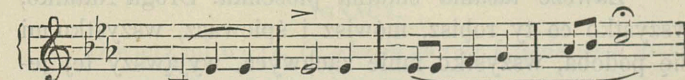
SCENA I.

NATALIA (przerywa szycie).

(śpiewa) *)



On ze mną krówki na pastwiska ga-niał
Od lat dzie-cin-nych kochałam go wza-jem



On o mnie mat-ce i oj-cu się kła-niał



Słynął u — ro-dą dobrym o-by — czajem.

*(szyje i po chwili śpiewa, Ignacy podchodzi i staje, słu-
chając śpiewu).*

*) Wiersz Brodzińskiego.

Ojcowie nasi uradzili sobie,
 Byśmy w małżeńskim stanie razem żyli
 I swoją pracą, o swojej chudobie
 Nową nam chatkę w polu wystawili. } *bis.*

(szyje a po chwili śpiewa).

Stoją mi w myśli chwile oplakane,
 Kiedy nadeszło czekane wesele,
 Krają mi serce piosneczki śpiewane,
 I święta nasza przysięga w kościele. } *bis.*

(szyje i znowu śpiewa).

Żegnał nas pleban, gdyśmy szli z kościoła,
 Echa piosneczki gajom roznosiły,
 Wdzięczne nas druchów obstały koła,
 A ja mówiłam: już pewny mój miły. } *bis.*
(Ignacy wchodzi).

SCENA II. NATALIA i IGNACY.

IGNACY.

Zawsze tasama smutna piosenka. Droga Natalko, wszystko co ty robisz, mówisz i śpiewasz, wszystko mi się podoba, wszystko mnie zachwyca, wyjąwszy tej jednej piosenki. Nie wiem co to znaczy, ale nie mogę jej słuchać. Czy to jakie przeczucie? Gdy ją usłyszę, to mi się zdaje, że opowiadasz moje i swoje, a raczej nasze wspólne losy. A niech nas Bóg zachowa, aby nasza miłość, nasze szczęście miało się tak, jak tej Oldyny zakończyć. Ja wiem, że my będziemy szczęśliwi, długo, długo, wiecznie. Od chwili, kiedy cię poznałem, najszczęśliwszy jestem, gdy na ciebie patrzę, gdy z tobą mówić mogę. Dzisiaj, gdy jesteś moją narzeczoną, jestem

tak szczęśliwy, że za nic w świecie nie oddałbym tego szczęścia. Niech sobie tam cesarze i królowie mają swoich ministrów i wojska dużo, ja im tego nie zazdroszczę. Niechaj panowie mają palace i pieniędzy wiele, ja wolę ciebie, ciebie jedną niż cały świat. Co mi świat bez ciebie?

(Podchodzi do niej, bierze stółek lecz nie siada)

Posłuchaj, ja ci zaśpiewam piosenkę, ale nie taką jak twoja.

*(śpiewa *)*

Niechże ja lepiej nie żyję,
 Dziewcze skarby moje!
 Jeżeli kiedy oczka czyje
 Milsze mi nad twoje.

Patrzajże mi prosto w oczy,
 Bo widzi Bóg w niebie,
 Że mi ledwo nie wyskoczy,
 Serduszek do ciebie.

NATALIA *(uśmiecha się).*

Ależ wierzę ci, wierzę.

IGNACY.

O wierz mi wierz. *(ściska ją za rękę i siada obok niej).*

NATALIA.

Dziwisz się mój Ignasiu, dlaczego ja zawsze tę pieśń o nieszczęśliwej Oldynie śpiewam. Już sobie nieraz powiedziałam, że jej śpiewać nie będę, kiedy się ona tobie nie podoba, tymczasem sama nie wiem, jak słowa wybiegną z ust i nucę. Gniewam się na siebie, a zapomnę i śpiewam. Czyby to miało być proroctwem,

*) Wiersz Brodzińskiego.

że i mnie to samo spotka. O nie, nie! jabym tego nie zniosła. A jednak lękam się, co to dalej będzie, bo choć rodzice moi i twoja matka życzą sobie tego małżeństwa, jednak ty wiesz jakie są przeszkody.

IGNACY.

Ale, ale, Natalko droga, wszak przyszedłem, aby ci dobrą wiadomość powiedzieć, lecz usłyszawszy twoją smutną piosenkę, a potem zobaczywszy ciebie o wszystkim zapomniałem. Czy nie był tu teraz Figułka?

NATALIA.

Nie, nie był.

IGNACY.

Niewiem z kąd on się dowiedział, żeśmy zaręczeni. Spotkawszy mnie dzisiaj, zaczął mi winszować, że taką śliczną i dobrą mieć będę z ciebie żonę i mówi: „Zaręczyć się to niewielka rzecz, ale gdzie ślub? Co mi dasz, a ja ci dam dobrą radę i ślub będzie, i wesela będzie i szczęście będzie.” Zaprosiłem go do domu, częstowałem miodem, lecz pić nie chciał, wypił tylko wódki i rzecze: „Przyjdę dzisiaj do Dębezuków to wam wszystko powiem.” I nie chciał więcej mówić.

NATALIA.

Bo nie nie wiem.

IGNACY.

E, przecie on kościelny, codziennie widywał księdza proboszcza, po łacinie śpiewał, to on musi coś umieć i poradzić potrafi w małżeńskich kłopotach.

NATALIA.

Coś ja nie mam przekonania do niego. Gdyby mniej do kieliszka zaglądał, to możebym mu wierzyła, ale tak? Dlaczegoż zresztą nie ci od razu nie powiedział?

IGNACY.

Nie wiem tego; być może, że chciał aby go twoi rodzice czem poczęstowali.

NATALIA.

A może; jednak nie bardzo ja wierzę w rozum takich ludzi, co tak często do butelki zaglądają.

IGNACY.

Otóż pójde po niego i przekonasz się, że on nam dobrą da radę. Tylko moja droga bądź wesołej myśli, a nie śpiewaj tej strasznej piosenki. Śpiewaj co innego; wszak ty tyle ładnych piosneczek umiesz (*wstaje*).

NATALIA.

Idź kiedy chcesz. Przekonasz się, iż miałam słuszość, że Figułka nie nam mądrego nie poradzi.

IGNACY.

Jak tylko Figułkę znajdę, zaraz tu z nim przyjdę. A teraz bądź zdrowa moja najdroższa. (*Ścisła ją za rękę i odchodzi*).

SCENA III.

NATALIA (*sama*).

Pocziwy Ignas! On nawet nie wie, jak ja go kocham. Od czasu poznania go, sama nie wiem co się ze mną dzieje.

(*śpiewa* *).

Idę w ogród, kwiaty zbieram,
I gubię wszystkie po drodze,
Idę na wzgórek wdzieram,
I nie wiem za kim wychodzę.

O tak, ja go bardzo kocham, czasami nawet zaczynam się lękać, aby nas Bóg nie ukarał za tę wielką miłość. Lecz przecież Bóg miłość stworzył, przecież w imieniu Boga kapłan błogosławi zakochanych. (*Ogląda się i spostrzega Maksyma*). Ah! znowu on. (*wstaje i chce iść*).

SCENA IV.

NATALIA i MAKSYM.

MAKSYM (*daje znak ręką aby została*).

Jedno słówko, zaczekaj, już naprawdę po raz ostatni tu przychodzę.

NATALIA.

Maksymie, czego chcesz odemnie? Tyle już razy powiedziałam ci, że cię nie mogę, nie chcę widzieć i z tobą mówić, a ty ciągle mówisz, że po raz ostatni przychodzisz, i znowu teraz przyszedłeś.

MAKSYM.

Tak, prawda, tyle razy to mówiłem, bo rzeczywiście postanawiałem nie przychodzić więcej; lecz to nie-szczęsne serce moje zawsze mnie tu wiodło. Wstyd mnie było, a szedłem. I dzisiaj tu przyszedłem, aby cię tylko choć zdaleka zobaczyć, i trafiłem na waszą roz-

*) Wiersz Brodzińskiego.

owę. Słyszałem wszystko. Słyszałem, że ten kiep Figulka ma tutaj przyjść, aby wam doradzić jak ślub wziąć.

NATALIA.

O znać, żeś z prawosławiem i naturę moskiewską przyobłókl, bo podsłuchujesz, to niktzemnie.

MAKSYM.

Nie, to nie niktzemność, to miłość ku tobie przykuła mnie do płotu i niechcący słyszałem wszystko.

NATALIA.

To jest niktzemnie.

MAKSYM.

Niech i tak będzie. To co słyszałem zmusza mnie, aby już naprawdę po raz ostatni z tobą pomówić.

NATALIA.

Nie się odemnie Maksymie nie dowiesz nad to, co już tyle razy słyszałeś.

MAKSYM.

To jest?

NATALIA.

Że cię nie chcę, że za ciebie nie pójdę, choćbym miała nigdy za męża nie pójść.

MAKSYM.

A dla czego?

NATALIA.

Dla tego, że ja mam narzeczonego. A powtóre tyś przyjął prawosławie.

MAKSYM.

Zmuszono mnie do podpisu na prawosławie, w duszy jestem katolikiem, unitą.

NATALIA.

Zmuszono cię? a dlaczego tylu innych nie dało podpisu?

MAKSYM.

To prawda, ja się uląklęm i dałem podpis; lecz rzeknij słowo, że za mnie pójdziesz a dzisiaj to odwołam.

NATALIA.

Na nie się to nie przyda, bo ja mam narzeczonego.

MAKSYM.

Słyszałem o tem, i to właśnie zmusza mnie, aby jeszcze raz z tobą pomówić. Chcę ci powiedzieć, że cię kocham nad życie, że bez ciebie świat mi niemiły, że bez ciebie żyć nie mogę, nie chcę.

NATALIA.

Maksymie, idź ztąd i więcej tu nie przychodź. Widzisz ten pierścionek na palcu moim? to znaczy, że ja nie mogę, nie chcę słuchać tego co ty mówisz. Moje serce już do innego należy.

MAKSYM.

Więc kiedy tak, to ci oświadczam i przysięgam, że mścić się będę, zgubię ciebie, jego, was oboje, a tak, ani moją nie będziesz, ale też i on nie nazwie cię żoną swoją.

NATALIA.

O, od ciebie coś zdradził sumienie własne, coś opuścił prawdziwą wiarę ojców twoich, niczego innego spodziewać się nie można. Chcesz się mścić? więc mścij się. *(Odchodzi)*.

MAKSYM *(chwyta się oburącz za głowę)*.

Tak, tylko mi zemsta została. *(po chwili odchodzi chwiejnie)*.

SCENA V.

JĘDRZEJ, JADWIGA i NATALIA.

(Jędrzej i Jadwiga wchodzą, Natalia za małą chwilę wchodzi z nimi, zmieszana i trzyma szycie w rękach).

JADWIGA.

Jędrzeju, Jędrzeju! dalibyście pokój z tem zmar-twieniem, gryziecie się, trapiacie i wdychacie, a to na nie się zdało. Wzdychaniem naszej biedy nie usunie. Panu Bogu to ofiarować, a przy swoim co się raz rze-kło, stać. My obydwie patrząc na wasz smutek jeszcze więcej cierpimy.

JĘDRZEJ.

Moja Jadwigo, nie taka to łatwa rzecz powiedzieć sercu, aby nie bolało; albo wstrzymać ten ból, iżby się ani westchnieniem, ani smutkiem na twarzy nie objawił. Jam to już dawno Panu Bogu ofiarował, i codzień z tego robię ofiarę, a mimo to, ile razy wspomnę o naszej biedzie, serce mi się krwawi. Ignacy się oświadczył o naszą jedynaczkę, pozwoliliśmy na zaręczyny, a teraz Bóg

wie, co z tego będzie, boć przecie dopóki ja żyję, nigdy nie pozwolę, aby mieli do popa iść po błogosławieństwo. Patrząc więc, że wyjścia z tego nie ma, widząc i to, co się naokoło nas dzieje, boli mnie serce, o! boli bardzo.

NATALIA (*wstaje i całuje Jędrzeja w rękę*).

Tatuńciu kochany, nie smućcie się, — ja wolę Ignacego nie mieć i oddać mu pierścionek, coście mi go sami dali, aniżeli widzieć was w takim smutku.

JĘDRZEJ.

Dziecko moje kochane, ja tego nie chcę. Ignacy chłopak dobry, pracowity, ojców swoich szanuje, wart ciebie, i nie szukam lepszego zięcia. Lecz właśnie dlatego mnie boli serce, że mogąc mieć takiego zięcia i zapewnić tobie szczęście, nie można tego tak prędko uczynić, a kto wie, czy się to da kiedy przeprowadzić? Sądzę zaś, że nie zechcecie abym was prowadził do moskiewskiej cerkwi po błogosławieństwo. O nie! tego nie uczynię. Więc to mnie boli.

NATALIA.

Tatuńciu kochany, uspokójcie się, bo gdy was widzę smutnych, to mi się serce kraje od wielkiego żalu. Wolę Ignacego nie mieć, niż szukać z nim szczęścia tam gdzie go nie ma. O nie, nie chcę. I to, że mogę Ignacego nie mieć, mniej mnie trapi, aniżeli wasz smutek i wasze milczenie.

JĘDRZEJ.

Pocziwaś ty dziecina. (*bierze ją za głowę i całuje*).

SCENA VI.

CIŻSAMI i MAKRYNA.

JADWIGA (*zobaczysz Makrynę*).

A! witajcież kumeczko kochana, witajcież... (*podaje stół Makrynę*). Siadajcie kumosiu kochana. Właśnie o was myślała, i tak w sam raz przychodzicie. (*Natalia całuje Makrynę w rękę*).

MAKRYNA.

Jak się masz moja droga synowo? Coś kumoter smutną mają minę, może wam się jaka nowa bieda przyplątała? A może, nie daj Panie w złą godzinę wymówić, żałujecie, żeście zezwolili na zrękowiny? toć miły kumie, choć mnie to wiele kosztuje, ale wam powiem, cofnąć się można.

JĘDRZEJ.

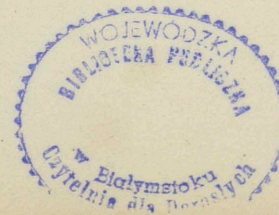
Ej, kumosiu, gdzie mnie żałować tego, kiedym ja rad, lecz co teraz będzie? powiedziecie sami. Gdzie ślub? Jam uniat, unickiej cerkwi nie mamy, bo je splugawiła Moskwa, — łaciński ksiądz ślubu nie da, bo im rząd zakazał. Więc co czynić, sami radźcie.

SCENA VII.

CIŻSAMI, GRZEGÓRZ, ELIASZ i FILIP.

JĘDRZEJ (*usłyszawszy kroki, ogląda się*).

O! sołtys do nas, i pomocnik jego. A, i Filip. Witajcież sąsiedzi.



GRZEGÓRZ.

Ja i Elias, to tu do was idziemy z urzędu, a idąc, spotkaliśmy Filipa, więc tak razem w gromadzie.

JĘDRZEJ, JADWIGA i MAKRYNA (*zaniepokojeni*).

Z urzędu? co to znaczy?

GRZEGÓRZ.

Ot, nie bójcie się, nie ma nic tak złego, a przynajmniej niespodziewanego. Zaraz wam powiem.

JĘDRZEJ.

Ależ sąsiedzi kochani, siadajcie wprzód.

(*Przybyli siadają, kobiety stoją zaciekawione*).

GRZEGÓRZ.

Dzisiaj wezwał mnie pop tutejszy... no, a wiecie, że jako soltys, choć z omierzeniem musiałem doń iść..., idę więc, przeżegnawszy się krzyżem świętym, i myślę, czego on tam chce znowu?... aż tu mi powiada: Soltysie, a wiesz ty o tem, że Makryna Nieczukowa żeni swego syna u Dębezuka? już się dawno zaręczyli, a dotąd o ślubie ani słycho. Oni może gdzie u jakiego księdza ślub wzięli pocichu? I dalejże mi grozić kontrybucją a kożą, abym się o tem wywiedział, i do ślubu was do cerkwi jego sprowadził. Nie wiem i rzekł a patrzałem rychłoli ucieć od niego, i jakoś mi się tak udało, że obiecawszy dowiedzieć się o wszystkim, o czem dawno wiem lecz nie dla niego, wyniosłem się, splunawszy za drzwiami i przeżegnawszy jak od ducha złego. Otóż do was przychodzę w kompanii, aby wam o tem powiedzieć, a po chrześcijańsku jak Bóg przykazał poradzić się wspólnie co robić.

MAKRYNA.

Już się ta psiawiara dowiedział o zaręczynach.

GRZEGÓRZ.

A, o czymby on nie wiedział... nie ma to na swe rozkazy dwóch psów strażaków ziemskich, co nie nie robią, tylko jak te jamniki wiatr wietrzą. Wszędzie wleżą, wszystko usłyszą, o wszystkim doniosą. Nie ma więc dziwoty, że i o was donieśli.

JĘDRZEJ.

Mój Boże, co też to za czasy teraz nastały... to już Antychryst przyjsć musiał...

ELIASZ.

Mój ojciec opowiadał, że za cara Mikołaja tak samo za Bugiem prześladowano unię..., więziono ludzi..., do grobów pod kościołami zamykano... bito różgami nie tylko mężczyzn ale i kobiety, jak na przykład te dwie młode panienki Zabiellówny. Prawdziwych księży, co nie chcieli przyjąć schizmy, rozwożono po monasterach, po więzieniach, po Rosyi i Syberyi... krew i łzy się lały... nikt nie nie mówił... panowie i królowie milezeli, a car i jego psiarczyki rozbijali... ludzie się rujnowali, płacili kary, a w końcu gdy nasłano popów, gdy łacińscy biskupi milezeli, naród uległ i... prawosławie przyjął.

FILIP.

Nie mówcie, że prawosławie przyjął, to jeno tak na oko, na pozór... ja tam byłem w wojsku, to wiem. Jak się ludzie tamtejsi dowiedzą, żeś katolik, z Królestwa, i poznają, żeś choć moskiewski żołnierz, ale uczci-

wy, to ci zaraz duszę otworzą, i niejeden się przyzna, że klnie schizmę, cara, popa i jego cerkiew.

MAKRYNA.

Siedziałby sobie ten car w swoim pałacu, kiedy mu ludzie płacą podatek i Panu Bogu dziękował, — a ta psiawiara jeszcze się znęca nad ludźmi.

GRZEGÓRZ.

Dopuścił Pan Bóg taką godzinę na polski naród, więc nieprzyjaciele korzystają bo to ich czas, godzina ciemności.

JĘDRZEJ.

Ale ta godzina zadługo się ciągnie, bo jak ludzie mówią, to już Piotr Wielki car, gdy wpadł z wojskiem do Polski, to własną ręką w kościele ścinał mieczem bazylianów... (*Ogólne wzruszenie*).

FILIP.

To prawda, ja widziałem tę cerkiew.

MAKRYNA.

Jakto? wyście to widzieli?

FILIP.

Tego nie widziałem jak car ścinał, bo to już będzie przeszło sto siedmdziesiąt lat, tylko widziałem tę cerkiew w Połocku..., wszedłem do cerkwi (*spluwa*), ale Boże odpuść tylko z ciekawości.

JADWIGA.

Mój Filipie, potrzebnicie tam byli jak dziura w moście.

FILIP.

Ano, stało się... poszedłem z ciekawości, bo mówili, że to dawniej wszystko było polskie, katolickie, a djak stary, co tam był w cerkwi i czyścił lichtarze, dalej ze mną w rozmowę. Dowiedziawszy się, że z Królestwa i uniat, choć to djak w carskiej służbie, ścisnął mnie za rękę, nie mi nie rzekł, alem ja zrozumiał, że on z tych, co się nie rodzili w prawosławiu. Otóż on mi opowiadał i pokazywał to miejsce, gdzie stał car, gdzie stali księża i jak car począł ich rąbać...

JADWIGA i MAKRYNA (*przerażone*).

O Jezu kochany!

GRZEGÓRZ.

Cóż dziwnego, że i z nami to będzie, ba, nawet już jest. Czyż-to w Pratulinie i Zabłociu nie strzelano do narodu? Czyż nie bito nahajkami, nie zważając czy to starzec, czy-to kobieta, czy dziecko? A ileż-to zniszczono majątku, zabrano bydła, koni, nągrabiono pieniędzy i ubrania?

JĘDRZEJ, ELIASZ i FILIP.

Oj prawda, święta prawda.

ELIASZ.

Ale, czy słyszeliście, że we wsi Szpakach i Polubiczach, moskale zwolywali gromadę całą i codzień kilku wołom żywym obcinali nogi, a kiedy bydło ryczało z bóleści, to oni pokazując chłopom mówili: „Kaźdemu tak będzie, kto nie przyjmie prawosławia?”

JADWIGA i MAKRYNA.

O Matko Święta!

GRZEGÓRZ.

I to prawda, — ale ktoby tam to wszystko opowiedział, co oni z biednym narodem wyprawiają.

(*Wszyscy siedzą zadumani, kobiety ocierają oczy*).

JĘDRZEJ.

Grzegorz kochany i wy sąsiedzi, radźcie co tu robić?

GRZEGÓRZ.

Jużci do cerkwi nie pójdziecie, do popa...

JĘDRZEJ.

A niech mnie Bóg broni!

GRZEGÓRZ.

Czekać nie ma co, pop gotów was siłą ściągnąć do cerkwi.

SCENA VIII.

CIŻSAMI, IGNACY i WALENTY FIGUŁKA.

(*Słysząc hałas, wszyscy się oglądają, idzie Ignacy i Figułka. — Figułka z czerwonym i zatabaczonym nosem*).

FIGUŁKA.

Niech będzie pochwalony.

WSZYSTYCY.

Na wieki.

JĘDRZEJ.

Pan Figułka, witamy.

FIGUŁKA.

Ot, coś chciałem powiedzieć, ja jestem, ja... idę, coś chciałem powiedzieć, aż oto spotykam tego młodzieńca i z nim przyszedłem, coś chciałem powiedzieć... aż oto taka śliczna kompania, tylko coś chciałem powiedzieć, (*ogłąda się*) strasznie po kapucyńsku, o suchym języku.

JADWIGA.

Niech pan Figułka siada, jakże tam zdrowie?

FIGUŁKA (*siada*).

Dziękuję, mam się dobrze i kiepsko, coś chciałem powiedzieć.. to jest miejscami dobrze, miejscami źle... żółte mnie trapi, coś chciałem powiedzieć, (*zaczyna częstować tabaką, wszyscy kichają*). Winszuję państwu (*do Jędrzeja i Jadwigi*) tego, coś chciałem powiedzieć co zamierzają, — ale to nie sekret, coś chciałem powiedzieć, takiego zięcia, pani Makrynie (*zwraca się do Makryny*) takiej ślicznej perły uryańskiej, synowej, a wam najnadbniejsi nowożeńcy (*zwraca się ku nim*) afektu serdecznego, coś chciałem powiedzieć, abyście nigdy nie pragnęli, tak jak ja w tej chwili spragniony jestem. (*kichą*).

KILKA GŁOSÓW.

Na zdrowie.

FIGUŁKA *(kłania się)*.

Daj Boże dobre zdrowie, coś chciałem powiedzieć.

MAKRYNA.

A jakże tam żona pana Fugułki, pani kościelna, czy zdrowa?

FIGUŁKA.

Żona, coś chciałem powiedzieć, trochę mnie coś za bardzo kocha, i ztąd różne wychodzą kontumacye.. ona jest, coś chciałem powiedzieć, trochę zazdrosna, ukrywa to przedemną, ale ja, coś chciałem powiedzieć, wiem o co chodzi. Ot na przykład, ile razy dawniej chciałem wyjść, żona mówi: Walenty nie chodź, bój się Boga! będzie znowu tego *(daje sobie prztyczek w gardło)*. Ksiądz proboszcz nas wypędzi! a ja mówię o nie! ksiądz proboszcz to nie ty, — gdybyś to ty była proboszczem, ho! ho! tobyś mnie dawno wypędziła, a innego przyjęła... ale tak to nie. *(zażywa tabakę)*. Trzeba państwu wiedzieć, w zaufaniu powiem, że się przeciwko mnie zmówili. Żona ciągle brzęczy: „Walenty ty pijesz“. — Księża znowu: „Walenty ty pijesz“, — a to wszystko Panie święty, coś chciałem powiedzieć, nie prawda, czyste komedye, zazdrość. *(Kicha bardzo głośno. Wszyscy się kłaniają, schylając głowę na znak życzeń)*. Cała historia jest taka, że ja, jak całej tu obecnej kompanii wiadomo, jestem człowiek nerwowy, lada czem się zmartwię, żółé mi się, ten tego, coś chciałem powiedzieć, ulewa, i cóż? do doktora? otóż-to, zaraz recepta, zaraz apteka, zaraz pigułki, i płac. Ja Panie święty, mam swój sposób, rano wypiję piołunówki mocnej, aż mną wstrząśnie brrr! i żółé na dół! *(robi ruch rękami po bokach, posuwając ku dołowi)*.

FILIP, ELIASZ i JADWIGA.

A to szczególne lekarstwo!

FIGUŁKA.

A szczególne, szczególne, coś chciałem powiedzieć, ale doświadczone. Wódka i to wszelkich gatunków, zaczynając od starki, piołunówki, anyżówki, kminkówki itd., a kończąc na zwyczajnej gorzałce, jest-to najlepsze a niezawodne lekarstwo na wszystkie choroby. Z doświadczenia to mówię. Tylko Panie święty, coś chciałem powiedzieć, te doktory dla swej korzyści tak ją obnieśli, a ludzkie języki, co z białego robią czarne, coś chciałem powiedzieć, te głupstwa, jak za panią matką pacierz, powtarzają.

IGNACY *(do Jędrzeja)*.

Szanowny ojcze Jędrzeju *(ciągnie go w rękę)* ja tu zaprosiłem pana kościelnego, aby nam co doradził w wiadomym interesie, bo mi sam właśnie mówił, że na to ma dobrą i skuteczną radę.

FIGUŁKA.

Tak jest, coś chciałem powiedzieć, nie starym jeszcze, choć mnie ta żółé bardzo ten tego niszczy, i nie wiele widział, ale wiele poradzić mogę, Wiem o co chodzi, tylko panie Jędrzeju *(zniża głos i wskazuje oczami na obecnych)* czy można mówić?

JĘDRZEJ.

A panie kościelny, prosimy radzić, my tu wszyscy swoi, żadnego tu z nas nie zaraziła schizma.

FIGUŁKA.

Zaraz dam radę, tylko *(ogląda się)* coś mi w gardle odrapało, mam defekt w gardle, coś chciałem powiedzieć, jak tylko dużo mówię, to mi obsycha i czuję klucie podobne do drapania, wtedy i myśli trudno zebrać, coś chciałem powiedzieć. Młodzieńcze *(zwraca się do Ignacego)* choć wody trochę.

JADWIGA.

Zaraz piwa przyniosę. *(wychodzi)*.

FIGUŁKA.

Na bezrybiu i rak ryba, to jest coś chciałem powiedzieć i piwo dobre. Otóż-to wracam do naszego interesu. Chodzi tu o małżeństwo takie, jak Pan Bóg w Raju postanowił. Małżeństwo, to ważna rzecz, to jest *matromonia*, nie każdy to rozumie. Małżeństwo ma swoje emolumenta, coś chciałem powiedzieć, ale też i ma turbacje i różne sensacje, ja to wiem z doświadczenia i z książek.

SCENA IX.

CIŻSAM I JADWIGA.

(Jadwiga wchodzi z dzbankiem i niesie na tacy szklanki, które bierze Natalia i częstuje obecnych).

FIGUŁKA *(skosztowawszy piwa)*.

Choć to piwu daleko być lekarstwem, a jednak czuję ulgę. Otóż wracam do małżeństwa. Małżeństwo postanowił Pan Bóg w Raju. Dopóki był Adam i Ewa nie było żadnej przeszkody do zawarcia małżeństwa,

dopiero później jak ludzi przybyło, wyszły i przeszkody, a jest ich wedle prawa kościelnego czternaście.

MAKRYNA I JADWIGA.

Czternaście? o jej! ktoby się spodziewał.

FIGUŁKA *(tryumfująco, nalewa sobie piwa ze dzbanka)*.

Tak, tak, czternaście dużych, a cztery małe.

JADWIGA I MAKRYNA.

Jeszcze i cztery małe?

FIGUŁKA.

I cztery małe, coś chciałem powiedzieć. Czternaście przeszkód dużych, a wiecie państwo co to znaczy? to znaczy, że ktoś czternaście razy może się zapędzać do małżeństwa i za każdą razą stanie mu przeszkoda zawsze inna i powie: nie można.

WSZYSCY.

O jej! straszne rzeczy.

FIGUŁKA *(pije piwo)*.

Tak, tak, czternaście razy znajdzie przeszkodę, jednak ustawać nie powinien. Jest na to sposób.

IGNACY *(do Natalii)*.

A co? nie mówiłem, że nam pan Figułka doradzi.

FIGUŁKA *(z wielką powagą rachuje na palcach)*.

Przeszkody te są: *Ein, Zwej, Drej*.

JĘDRZEJ (*przerywa mu*).

Jeżeli to po łacinie, to my nie rozumiemy, niech pan Figułka nie mówi po łacinie.

FIGUŁKA.

Prawda, że państwo nie umiecie po łacinie, ale i ja nie umiałem, jednak coś chciałem powiedzieć, śpiewając po łacinie psalmy i inne hymny nauczyłem się. Dzisiaj znam łacinę, jak jej niejeden braciszek w klasztorze nie zna. (*pije*) Bo trzeba państwu wiedzieć, że ja z młodu, kwalifikowałem się na organistę, ale mi ten kontrabas (*daje sobie prztyczka w gardło*) nie dopisał, coś chciałem powiedzieć, dlatego zostałem kościelnym. (*pije*) Otóż państwo (*zwraca się ku Ignacemu i Natalii*) chcecie małżeństwa, a macie przeszkodę. Co tu robić? ha, co tu robić? coś chciałem powiedzieć. Serca goreją wzajemnym afektem, wodą tego nie ugasi, co tu robić? Księdza swego nie macie, a nasz łaciński proboszcz boi się, więc co robić? Wicie państwo, że jest na to sposób. (*pije*) Ale o tym sposobie, coś chciałem powiedzieć, nie każdy wie, nawet uczony człowiek. Ja bo go wyczytałem w tych starych książkach, co tam na strychu kościelnym leżą. Ja go dla dobra ludzkości i dla dobra całej kompanii powiem, tylko coś chciałem powiedzieć, (*ogląda się*) pst! (*kładzie palec na ustach*) Zmiłujcie się państwo, ani słówka przed nikim (*ogląda się*) że to ja wam powiedziałem, bo Moskale (*ogląda się*) szelmy, takby ze mną zrobili (*kładzie paznokieć wielkiego palca prawej ręki na wielkim paznokciu lewej ręki*), coś chciałem powiedzieć.

WSZYSCY.

Ale sekret, to kamień w wodę, czy my to nie swoi?

FIGUŁKA (*pije*).

Otóż widzicie państwo, jeżeli ksiądz proboszcz nie chce dać ślubu, a coś chciałem powiedzieć, państwu młodemu koniecznie chce się na swoim postawić, to należy wziąć dwu świadków, i iść do księdza i wszedłszy coś chciałem powiedzieć, (*ogląda się*) i wszedłszy stanąć. Potem pan młody mówi: Księżu proboszczu, ja Ignacy biorę sobie tę oto pannę za żonę, coś chciałem powiedzieć. (*Ogląda się, potem nalewa piwa, pije, ociera pot z czoła, poprawia wąsy*).

IGNACY (*zniecierpliwiony*).

No i cóż dalej, panie kościelny?

FIGUŁKA.

Co dalej? otóż to sęk, coś chciałem powiedzieć. Dalej, panna młoda, czy-to panna, czy wdowa, czy innego rodzaju niewiasta, jak np.: rozwódka, powinna (*ogląda się*) powiedzieć: Ja Natalia, biorę sobie, tego oto Ignacego, za męża. I, i, już po ślubie, coś chciałem powiedzieć.

WSZYSCY.

Jakto po ślubie?

FIGUŁKA.

A już po ślubie. Wszystko skończone, coś chciałem powiedzieć, za drzwi i marsz.

JĘDRZEJ.

A „Veni Creator” gdzie?

FIGUŁKA.

Nie było.

JADWIGA.

A świece zapalone?

FIGUŁKA.

Nie były.

MAKRYNA.

A druchny i starosta weselny?

FIGUŁKA.

Nie było ich.

JĘDRZEJ.

A błogosławieństwo księdza.

FIGUŁKA.

Wszystkiego tego nie było.

MAKRYNA.

A obrączki? któż je podawał?

FIGUŁKA (*tryumfująco*).

Obrączki niepotrzebne.

NATALIA.

Jak-to nie potrzebne?

JADWIGA.

A po czemże poznają, że są zaślubieni na wieki,
aż do śmierci?

NATALIA.

Takiego ślubu ja nie chcę.

JĘDRZEJ.

To ślub kradziony. U nas nikt ślubu nie kradnie.

FIGUŁKA (*zakłopotany*).

Państwo szanowni, jakem Walenty Figułka, jakem kościelny, bodajem wódki nigdy w życiu nie pił, ręczę wam, coś chciałem powiedzieć, ślub ważny. W księgach stoi napisane, choćby nawet...

JĘDRZEJ.

Co, choćby nawet?... Na taki ślub ja się nie zgadzę. Ma być, niech będzie w kościele, niech grają, śpiwają, bębnią, niech się świece palą, niech drzwi będą otwarte, a kto chce niech przyjdzie i patrzy. To mi ślub! Ale nie taki jak pan Figułka mówi, to jakiś ślub heretycki, nowomodny, światowy, ale nie katolicki.

FIGUŁKA (*urazony*).

Nie heretycki, coś chciałem powiedzieć, ani nowomodny, ani światowy, to katolicki, w starych księgach stoi...

JĘDRZEJ (*przerywa mu*).

To ślub kradziony.

FIGUŁKA (*z urazą*).

Moi państwo, jak chcecie, wola wasza, coś chciałem powiedzieć, urażacie mój honor, bo nie wierzycie, co ja wam mówię, a co jest pewne jakem potomek Figułków,

bodajem wódki nigdy w życiu i w wieczności nie widział. (*Chwyta się za serce*). Jeszcze się nigdy tak nie zaklął, coś chciałem powiedzieć.

JĘDRZEJ.

Waszemu honorowi panie Figulka nie ubliżam, ale nikt z moich dziadów i pradziadów ślubu nie kradł, i ja go nie ukradłem, ani też moje dziecko kraść nie będzie.

GRZEGÓRZ, ELIASZ i FILIP.

Tak, słusznie Jędrzej mówi, to sprawa nieczysta.

NATALIA (*całuje Jędrzeja w rękę*).

Tatuńciu, takiego ślubu ja nie chcę. (*zwraca się do Ignacego*) Widzisz Ignacy, no i cóż pan Figulka doradził?

IGNACY (*zmartwiony, rusza ramionami*).

Panie Figulka, możeby można inną dać radę? (*na-lewa mu piwa*).

FIGUŁKA (*trochę udobruchany, popija*).

Na zawarcie małżeństwa nie ma środka. Odstąpić jedno od drugiego, i zagasić afekt serdeczny, na co pomaga, coś chciałem powiedzieć, wódka; bo jeżeli wódka na wszystkie choroby pomaga, coś chciałem powiedzieć...

IGNACY (*przerywa mu*).

Panie Figulka, ja się nie o to pytam...

FIGUŁKA (*przerywa mu*).

Za pozwoleniem, młodzieńcze, mój honor, coś chcia-

łem powiedzieć, przeszkadzasz, ja nie skończyłem. Jeżeli wódka na wszystko pomaga, dlaczegoż nie miałyby pomóc na wyleczenie się z miłości? coś chciałem powiedzieć...

JĘDRZEJ.

Ależ panie Figulka, kiedy nam nie o to chodzi.

FIGUŁKA.

Panie Jędrzeju, nie skończyłem, coś chciałem powiedzieć. Jak kto jedzie wozem i zobaczy most zepsuty i nie może przejechać, to nawraca; niech i te dwa serca nawrócą, kiedy, coś chciałem powiedzieć, dziura w moście. Niech nawrócą. Aby im zaś nie było markotno, niech się leczą. Moskale (*ogląda się*) choć to gałgany, a wódką się leczą ze wszystkich chorób i słabości ciała i duszy...

IGNACY (*zniecierpliwiony*).

Panie Figulka, my nie chcemy nawracać, jenojechać.

FIGUŁKA (*rusza ramionami*).

Na to nie ma rady, coś chciałem powiedzieć. Niech kto inny radzi.

GRZEGÓRZ.

Jest na to rada.

JADWIGA, MAKRYNA i IGNACY.

Cóż zrobić?

GRZEGÓRZ.

To zrobić, co inni robią. Iść za granicę i wziąć

ślub, a potem?... potem będziemy radzić. Jedni z tych, jak wiecie, co tam biorą śluby, pokażą świadectwo, posiedzą w kozie i pójda do domu. Innym każą i kozę odsiedzieć i kontrybucję zapłacić. No prawda, że z tymi co ich na granicy złapia, to ostro idzie, pędzą ich tam gdzieś do rot aresztanckich, do Oremburga i gdzieindziej.

JADWIGA i MAKRYNA.

Matko Święta!

GRZEGÓRZ.

Bóg miłosierny, może wam się udać.

JADWIGA.

Ale jak to iść? którądy? kto ma iść?

GRZEGÓRZ.

Jakto iść? Na nogach. Którędy? Prosto przed siebie, tędy, co i inni chodzą. A kto ma iść? A juści państwo młodzi, co chcą ślub brać... a nie kto inny.

JADWIGA.

Ale jak ich to samych puścić? moje skarby, moje złotko, mą Natalkę? o mój Boże! *(placze, Natalia całuje matkę po rękach)*.

JĘDRZEJ.

No prawda, że tam tyle luda chodzi, to do Prus to do Galicyi, i śluby biorą i dzieci do chrztu noszą, a rzadko kogo chwycą.

FIGUŁKA.

Święta prawda, coś chciałem powiedzieć. W ten

sposób można most przejechać, i ja tak radzę, choć chwycić mogą i most się zawali, a wtedy większa będzie bieda. Lepiej może nawrócić, coś chciałem powiedzieć...

FILIP.

E, to fracha! ja tam dwa razy chodziłem, a nie mi się złego nie stało.

(Wszyscy na niego spoglądają).

JĘDRZEJOWA i MAKRYNA.

Byliście?

FILIP.

Byłem z dziećmi do chrztu, bo moja chorowała i iść nie mogła.

FIGUŁKA *(zaczekawiony)*.

A dobra tam wódka?

FILIP.

Nie kosztowałem.

FIGUŁKA *(ze smutkiem)*.

Wielka szkoda! Za granicą to muszą być dobre wódki, coś chciałem powiedzieć

JADWIGA.

Mój Filipie kochany! jakże to tam w tej Galicyi, czy tam są żandarmi? strażniki? jacy tam ludzie?

FILIP.

Jacy ludzie? A nasi, katolicy, Polacy. Tam są i

żandarmi, ale nie tacy jak u nas. Tam żandarma to się ucześciwi ludzie nie boją. Szanują go, bo on nie patrzy kogoby obedrzeć ze skóry lub znieważyć. Nie! Tam królem rządzi Cesarz, ale Go ludzie kochają, bo On dla narodu jak ojciec dobry i sprawiedliwy. Każdy wierzy jak chce i mówi takim językiem jak mu się podoba.

JADWIGA.

O moiściewy złoci, cóż to za ziemia święta. Jakby to nam żyć w takim kraju. Czemuż to u nas tak nie jest?

MAKRYNA.

Mój Filipie, to trudno temu wierzyć, co wy mówicie, to tam chyba inny świat, inni ludzie?

FILIP.

Nawet przyznam wam się moi kumotrowie, że ja dzisiaj idę w tamte strony, jeśli chcecie, to Ignacy i wasza córka mogą się wybrać ze mną.

(Ogólne zamieszanie).

JADWIGA i MAKRYNA.

Dzisiaj?

FILIP.

Ja muszę dzisiaj, jeśli chcecie, to się zbierzcie i w imię boskie dalej w drogę.

GRZEGÓRZ.

No, widzicie, to i okazja jest, zabrać się w drogę. Jenó ze wsi wychodzić po jednemu, i zejść się za

wsią, a dalej Bóg poprowadzi. Ja wam tak radzę Jędrzej, jeśli chcecie dzieci żenić, to ich wyprawić.

IGNACY *(kłania się Jędrzejowi do kolan i Jadwidze).*

Jeśli wola i łaska wasza, to pobłogosławcie.
(Jadwiga płacze, Makryna ociera oczy... milczenie ogólne).

JĘDRZEJ *(po chwili).*

A to się zbierzcie.
(Ignacy kłania się Jędrzejowi i Jadwidze do kolan i z Makryną wychodzi spojrzawszy na Natalię. Natalia pocałowała Jędrzeja i Jadwigę wychodzi z Jadwigą).

SCENA X.

JĘDRZEJ, GRZEGÓRZ, ELIASZ, FILIP i FIGUŁKA.

FIGUŁKA *(sięga do dzbanka, nalewa piwa, pije i z miną frasobliwą mówi).*

Dobra rada, panie Filipie, dobra rada, choć ryzykowna, coś chciałem powiedzieć. Ale, panie Filipie, coś chciałem powiedzieć, ja mam do was prośbę.

FILIP.

O cóż chodzi panie Fugułko?

FIGUŁKA.

Rzecz wielkiej wagi. Jak wiecie, coś chciałem powiedzieć, moskale *(ogląda się)* bodaj ich... już nie powiem, doszli z książek, że stryjeczny dziadek mojej żony był ochrzczonym w unickim kościele, z tego powodu, że i moją żonę i moje dzieci przepisali jak wiecie na prawosławie. Otóż, coś chciałem powiedzieć, mam

dziecko nie ochrzczone, ksiądz łaciński, nasz proboszcz chrzcić nie chce, bo się boi. Co tu robić? Weźcie wy panie Filipie, coś chciałem powiedzieć, to dziecko za granicę, a jak ochrzciecie, to mi z metryką przyniesiecie, coś chciałem powiedzieć.

FILIP.

Nie mogę panie Figulka, bo sam idę z mojem dzieckiem, ale niech wasza żona idzie, albo wy sami chodźcie z nami i dziecko ochrzczimy. I tak już nie jesteście kościelnym, bo was moskale kazali oddalić.

FIGUŁKA.

Moja żona, coś chciałem powiedzieć, iść nie może, bo chora, — a ja się boję, — choć co prawda, radbym i świat zobaczyć i dziecko ochrzcić, bo mi go mogą porwać i w cerkwi ochrzcić, coś chciałem powiedzieć.

FILIP.

W imię Boskie, panie Figulka idźcie do domu, naradźcie się z waszą, a jak się namyślicie, to się zbierzcie w drogę z dzieckiem, a skoro się ściemni, przyjdźcie za wieś, tam pod krzyż pod lasem.

FIGUŁKA (*wstaje*).

Pójdę do domu i pomówię z moją. Dobra byłaby rzecz i dziecko ochrzcić i świat zobaczyć. (*Wypija piwo*). Bądźcie tu zdrowi wszyscy. (*podaje obecnym ręce*).

JĘDRZEJ.

Niech was Pan Bóg prowadzi, panie Figulka.

GRZEGÓRZ i ELIASZ.

Szczęśliwej drogi.

FIGUŁKA (*rozrzuwiony*).

Obyśmy się zobaczyli, zdrowo i cało, coś chciałem powiedzieć.

(*wychodzą z Filipem*).

SCENA XI.

JĘDRZEJ, GRZEGÓRZ, ELIASZ, MAKRYNA i IGNACY.

(*Ignacy wchodzi ubrany po podróżnemu, kobiałka przez plecy, za nim Makryna płacze*).

JĘDRZEJ (*zobaczwszy Ignacego*).

Jużes gotów?

IGNACY.

Już panie ojcze.

SCENA XII.

CIŻSAMI, JADWIGA i NATALIA.

(*Wchodzi Natalia ubrana po podróżnemu, za nią Jadwiga w fartuchu niesie chleb, sér, bułki itp. drobiazgi, które pakuje Ignacemu do kobiałki. Milczenie ogólne. Natalia płacze, Jadwiga i Makryna ocierają sobie oczy. Ignacy i Natalia klękają przed Jędrzejem. Jadwiga i Makryna stoją obok Jędrzeja*).

JĘDRZEJ (*wyciąga ręce nad głowami Ignacego i Natalii*).

Niech was Pan Bóg błogosławi, moje drogie dzieci.

(*Zasłona spada*).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

W E S E L E.

Rzecz dzieje się na Zwierzyńcu pod Krakowem.

(*Scena przedstawia ogród do którego przytyka dom wiejski*).

SCENA I.

STANISŁAW, ZOFIA, IGNACY, NATALIA, MAŁGOSIA, KASIA,
STASZEK i JANEK.

(*Stanisław prowadzi Natalię pod rękę, za nimi Zofia z Ignacym pod rękę, Staszek z Małgosią a Janek z Kasią, także pod rękę. Wszyscy z bukietami ślubnymi. Natalia zapłakana*).

STANISŁAW (*wchodzi i pokazując ręką mówi*:)

Otóż mój dom. W izbie ciasno, więc się tutaj w ogrodzie zabawimy. Anim się spodziewałem, wstając rano, co za miłych gości będę miał dzisiaj w moim domu. Ale gość w dom, a jeszcze tacy... Bóg w dom. Aniołowie nas zaprowadzili dzisiaj do kościoła św. Piotra. Patrzę po sumie, jakaś młoda para kłęka przed ołtarzem, nikogo przy nich, ani ojca, ani matki, ani brata, ani siostry, a toż co, myślę sobie? Wychodzi ksiądz w kapie, świece na ołtarzu aż jasno choć to w dzień, na kościele państwa aż ciasno. Co to takiego? Przy-

suwam się, aż tu jegomość mówi: „Dziwi was to zapewne widząc przed ołtarzem tych oto dwoje, a obok nich nikogo więcej..... Czy wiecie co to znaczy? Oto są nowożeńcy co z dalekich stron, z pod moskiewskiego cara przyszli, aby tutaj mogli zawrzeć związki małżeńskie, bo im car nie chce pozwolić na ślub, jak tylko pod tym warunkiem, aby im pop błogosławił, a oni żeby jego wiarę przyjęli. Dzień ślubu dla was jest dniem radości. Towarzyszyście dzieciom waszym do kościoła, aby z kapłańskim błogosławieństwem połączyć i wasze. Ci nowożeńcy prześladowani za wiarę świętą, nie mają tego szczęścia, więc was proszę zastąpić im ojca, matkę, brata i siostrę...” Aż tu płacz w kościele, — i mnie samemu na płacz się wzięło. Traciłem moją babę w łokieć i mówię: u nas wesele. A dobrze, odrzeczcie. I chociaż ten i ów po ślubie napierał się z ojcowstwem, ja się utrzymałem przy swoim. Otóż mój dom, bądźcie dzisiaj moimi dziećmi. A najprzód po zwyczaju. Matko, *(daje znak Zofii, ta wychodzi i za chwilę wraca niosąc na talerzu kawałek chleba, cukru, soli i talar srebrny)* Janek, przynieśno stołków. *(Janek i Staszek znoszą stolki)*. Otóż moje dzieci nie błogosławiliśmy wam idąc do kościoła, to teraz pobłogosławimy. *(Bierze od Zofii talerz, podaje go Natalii stojącej obok Ignacego)*. Niechże wam Bóg da wszystko dobre, w domu, i w dzierzy, i w kalecie, i w oborze. W każdym kątku po dzieciątku, a na piecu dwoje. Biedny niech u was zawsze znajdzie wsparcie, a nieszczęśliwy radę i pociechę. *(Robi znak krzyża nad ich głowami, oni go całują w rękę, on ich w głowę. Natalia z talerzem w ręku i Ignacy zwracają się do Zofii)*.

ZOFIA.

Niech wam Bóg błogosławi moje dzieci. *(Całuje ich w głowę, a oni ją w rękę)*. Już i ten psiawiara moskal nie rozlepi tego, co Pan Bóg zlepił w kościele. Siadajcie moje dzieci.

STANISŁAW.

Staszek, idźno do Antka, żeby tego, *(robi rękę ruch, jakby grał na skrzypcach)*, wiesz? Co mi to wesele bez smyczka. *(Staszek wychodzi)*.

IGNACY.

Ależ szanowny Stanisławie, nie róbcie sobie z nami kłopotu, — nam zresztą nie muzyka w głowie,.... bo choć serce szczęśliwe z tego co się stało, ale z drugiej strony, człowiek się lęka tego co go czeka.

STANISŁAW.

O! mój Ignacy kochany, wszak słyszałeś co jegomość mówił przy ołtarzu, że nie macie ojca i matki na swoim ślubie, ale ci wszyscy co byli w kościele, radziły wam ich zastąpić. „Dzisiaj, mówił jegomość, gdyby mogli toby wszyscy katolicy stanęli wam pobłogosławić. Mało tego, te nasze stare króle i królowe co tam śpią pod Wawelem, gdyby mogli toby wam ojca i matkę zastąpili. Te kamienne pomniki co je widzicie, zdają się wyciągać ręce, aby wam błogosławić!” Tak mówił jegomość; więc widzisz mój kochany Ignacy, jakie to szczęście dla mnie, że mogę was w domu własnym przyjąć, a czem chata bogata z całego serca uraczyć. Więc was przyjmuję jak moje własne dzieci. — Co mi to wesele bez muzyki. — A zresztą cóż powiecie tam u was, jacy to tutaj ludzie? jak tańczą? jak są radzi gościom?

Zjemy co Bóg da, wychylimy miodu i krakowiaka za-
tańczymy, ja z panną młodą, a ty z moją babą, a po-
tém krzyż na drogę i do domu.

IGNACY.

Bóg wam zapłać Stanisławie za wasze dobre serce.

STANISŁAW.

Wyście z Podlasia, wszak prawda?

IGNACY.

Z Podlasia jesteśmy.

STANISŁAW.

To tam u was są Maciejowice?

IGNACY.

A tak, co to Kościuszkó....

STANISŁAW.

No, no, tośmy nawet trochę krewni, bo widzisz
moja baba to wnuczka stryjeczna Bartosza Głowackiego,
tego co to wiesz... Raclawice.

IGNACY.

Co moskali zbił.

STANISŁAW.

A tak. Widzisz więc, że ja tak bliski Raclawicom
jak ty Maciejowicom, to my sobie krewni.

(Wszyscy się śmieją, słysząc zdaleka muzykę).

SCENA II.

CIŻSAMI, STASZEK i MUZYKANCI.

(Stanisław śpiewa, muzyka mu wtóruje).

STANISŁAW. *(śpiew *)*.

Héj, tam w karczmie za stołem,
Siadł przy dzbanie Jan stary,
Otoczyli go kołem,
On tak mówił do wiary.

Moi bracia źle teraz,
Dawniej lepiej bywało,
Bo mówiłem wam nieraz,
Teraz zuchów jest mało.

Za mych czasów to słył
Kum Bartłomiej Głowacki,
Od moskali on zginął,
A był ci to człek chwacki.

Raz pamiętam z wieczora
W Raclawicach stojewa,
Aż tu błysło z pod bora,
I moskali widziewa.

Gdy to zoczył Kościuszkó,
Kazał bębnić na bitwę,
A Głowacki podskoczył
Bo miał kosę kiej brzytwę.

I tak dalej, *(robi ruch ręką z góry na dół)* ale
niema co dzisiaj o tem wspominać.

*) Znana piosenka narodowa.

SCENA III.

CIŹSAM I ZOFIA.

(Muzyka gra, Zofia wchodzi, niosąc w jednej ręce koszyk z bulkami, séréem itp. delikatesami, a w drugiej butelkę z miodem i kieliszek. — Koszyk oddaje Matgosi, aby częstowała, a sama nalaawszy miodu, staje naprzeciw Ignacego i Natalii).

ZOFIA (próbuję miodu).

Gorzki, gorzki... osłódźcie miód, pocałujcie się.
(Ignacy całuje żonę, Zofia próbuje miodu i mówi).
A, teraz jest miód słodki. (Muzyka gra).
(Zofia wypijwszy miód nalewa i podaje Natalii, a ta skosztowawszy oddaje Ignacemu).

ZOFIA.

Bodajecie zawsze mieli takie słodkie życie, moje drogie dzieci.

SCENA IV.

CIŹSAM I WALENTY FIGUŁKA.

(Słychać za sceną płacz dziecka, wszyscy się oglądają).

STANISŁAW.

Dobra wróżba.
(Wchodzi Figuełka zmęczony bardzo, na jednej ręce trzyma dziecko w poduszce, w drugiej ręce trzyma koszyk z którego wyglądają butelki.)

FIGUŁKA.

To pewnie tutaj? bo muzyka gra, (ogląda się) a tu-

taj, chwała Bogu, już myślałem, coś chciałem powiedzieć, żeśmy się zgubili, i że człowiek zginie.

STANISŁAW I ZOFIA (idą ku Figuełce).

A co to? czego asińdzi chcą?

FIGUŁKA (stawia koszyk, i ogląda się gdzieby dziecko umieścić).

Ja, asińdzi? asińdzi? zaraz, coś chciałem powiedzieć, zaraz, (zobaczynszy Kasię, idzie ku niej) śliczna, coś chciałem powiedzieć panienko, potrzyмай proszę, okropniem zmęczony. (Kasia się chowa) A, coś chciałem powiedzieć, nie dobrze kiedy białogłowa, którą Bóg stworzył ku pomocy mężowi, coś chciałem powiedzieć, chowa się w razie potrzeby.

NATALIA.

Panie Figuełko! ja panu potrymam.

FIGUŁKA.

Bardzo proszę panią Ignacową, bardzo proszę potrymać to macieństwo.
(Natalia odbiera dziecko, dziewczęta i kobiety zbliżają się do niej).

IGNACY (do Stanisława i Zofii).

To pan Figuełko, kościelny z naszej parafii, przyniósł tu dziecko do chrztu.

FIGUŁKA (kłania się).

Tak jest. coś chciałem powiedzieć. Ochrzciłem dziecko, a potem z kościelnym od św. Piotra poszliśmy na chrzciny, i tak od słowa do słowa gawędziliśmy, aż

się spóźniłem na wesele, coś chciałem powiedzieć. Myślałem, że się już nie znajdziemy, i że ja sam wrócę do domu; pytam się i pytam coś chciałem powiedzieć, i ledwie dopytałem, że to tutaj wesele. Otóż szanowny panie gospodarzu (*do Stanisława*), ja, coś chciałem powiedzieć, jestem, jak rzekł pan Ignacy, Walenty Figułka, dawny kościelny z Podlasia.

STANISŁAW (*podaje mu rękę*).

Bardzośmy radzi panu kościelnemu, prosimy na wesele.

FIGUŁKA (*klania się, wyciąga tabakierę i częstuje*).

Proszę zażyć podlaskiej tabaki (*wszyscy zażywają i kichają*) to panie święty, tabaka z Lubartowa, od Ojców Kapucynów, coś chciałem powiedzieć, zakrapiana wódką gwoździkową dla większego aromatu; to tabaka, coś chciałem powiedzieć, jak kichniesz, to aż tam gdzieś pod żebrem strzyknie.

ZOFIA (*która słuchała rozmowy aż do zażywania tabaki, potem wzięła dziecko na ręce i przypatrując mu się*).

Śliczne dziecko, podobniusiennie do pana Figułki.

FIGUŁKA (*uradowany, zakręca wąsy i klania się*).

Otóżto, coś chciałem powiedzieć, gdyby nie ta zółć i różne zmartwienia z tymi Moskaliskami, toby człek, coś chciałem powiedzieć, jeszcze mógł karierę zagranicą zrobić. Ale dobrze, że żona, coś chciałem powiedzieć, tego nie słyszy.

STANISŁAW (*nalewa miodu, muzyka brzęka, szmer rozmowy*).

W ręce wasze panie kościelny (*pije, i nalewa*).

FIGUŁKA

Daj Boże dobre zdrowie, coś chciałem powiedzieć (*Bierze kieliszek, obraca się i kiwając ręką mówi*). Państwo, państwo, uciszcie się. (*Muzyka przestaje brząkać*). Pozwólcie szanowny panie Stanisławie, coś chciałem powiedzieć, abym wobec tej świetnej publiki wypił zdrowie państwa młodych, coś chciałem powiedzieć, i złożył im afekt serdeczny miłosnej kondolencyi. (*Staje przed Natalią z kieliszkiem, wyjmując chustkę, uciera nos, chrząka i nogami przebiera, klania się*).

Stanęłaś! (*po chwili milczenia, uciera nos*).

Stanęłaś! (*drapie się w głowę*).

Stanęłaś panno! (*głos mu drży, podkręca wąsy*).

Stanęłaś panno jako.... (*głos mu drży bardziej, po chwili słychać sykanie*).

Stanęłaś panno jako .. świeca!

JEDEN Z MUZYKANTÓW (*głośno*).

Pocałujże lichtarz! (*ogólny śmiech, Figułka niezadowolony, bierze Natalię za rękę i całuje*).

FIGUŁKA.

Za zdrowie państwa młodych! (*pije*).

WSZYSCY.

Niech żyją!

FIGUŁKA (*oddaje Stanisławowi kieliszek*).

Przeszkodzili mi dokończyć,.... ha! nie szanują duchownych osób.

(*Muzyka zaczyna grać do tańca. Trzy pary stają, Staszek z Natalią, Ignacy z Małgosią, Janek z Kasią*).

STASZEK (*z Natalią staje przed muzyką, śpiewa, po tem tańczą*).

(*śpiew*)

W Krakowie jest Wisła a przy Wiśle Kopiec,
Ożenił się z panną nie krakowski chłopiec.

NATALIA (*z Staszkiem staje przed muzyką, śpiewa, potem tańczą*).

(*śpiew*)

Krakowiaka wam zaśpiewam, krakowiaka grajcie,
Niechaj żyje stary Kraków ze mną zawołajcie.

IGNACY (*z Kasią przed muzyką śpiewa, potem tańczą*).

(*śpiew*).

W Krakowie pod Kopcem na skrzypczkach grają,
Niechaj żyje Polska, Unici wołają.

JANEK (*z Małgosią przed muzyką śpiewa, potem tańczą*).

(*śpiew*)

Niechaj żyje Kraków z Podlasia wołają,
Bo to nasi bracia i do nas wzdychają.

KASIA (*z Ignacym przed muzyką śpiewa, potem tańczą*).

(*śpiew*)

Napróżno moskale rozerwać nas chcecie,
Wiedzą o tem w Polsce i na całym świecie.

MAŁGOSIA (*z Jankiem przed muzyką śpiewa, potem tańczą*).

(*śpiew*)

Choć moskale dzielą, lecz niebo łaskawsze,
Byliśmy złączeni i będziemy zawsze.

IGNACY (*z Kasią przed muzyką śpiewa, potem tańczą*).

(*śpiew*)

Płyną rzeki płyną, nigdy nie przepłyną,
Niechaj Polska i Ruś na wiek wieków słyń.
(*Po ukończeniu tańca, muzyka stroi instrumenta*).

FIGUŁKA (*zażywa tabakę i mówi do Zofii*).

Jabym, coś chciałem powiedzieć, prosił panią Zofię
do tańca, ale mi, coś chciałem powiedzieć, żółć strasznie
nogi pęta.

ZOFIA (*huśtając dziecko*).

To kiedy pan kościelny nie może tańcować, niechże
co zaśpiewa.

FIGUŁKA.

A, i tego nie mogę, bo coś chciałem powiedzieć,
kontrabas mi nie dopisuje (*daje sobie prztyczek w gardło*).
Jużto. w tańcu i w śpiewie, coś chciałem powiedzieć,
to nie ma ze mnie pociechy; ale mówić to mogę bez
ustanku, byłem jeno miał czem gardło odświeżać, bo
mi bardzo obsycha. Gdyby nie to, to panie święty, coś
chciałem powiedzieć, mógłbym kaznodzieją zostać. (*Wy-
mija tabakiere, zażywa i częstuje wszystkich*).

NATALIA.

A co to pan Fiułka nosi w tym koszyku?

FIGUŁKA.

E, to panie święty, kupilem sobie lekarstwa na
moją żółć, coś chciałem powiedzieć, to są wcale nie
złe próbki, a przytem tanie, coś chciałem powiedzieć.

Bodaj to żyć tutaj w Galicyi, to i chorować nie żal, bo jest czem bóla wypędzić. (*Podchodzi do koszyka, wyciąga butelki, ogląda je i mówi*). Państwo szanowni, to nawet nie wiecie, w jak szczęśliwym kraju żyjecie; i moskali nie macie, i coś chciałem powiedzieć, wódka tania i dobra. Ja to wiozę jako specyał zagraniczny. (*Zwraca się do Stanisława*). A możebyśmy się napili? Miód straszliwie mdli (*krzywi ustami*).

STANISŁAW.

My nie pijemy wódki, bośmy się odrzekli w kościele na misyi.

FIGUŁKA (*zadziwiony o mało nie upuścił butelki*).

Państwo odrzekliście się wódki? w kościele? jakto być może? A, coś chciałem powiedzieć, to trudno uwierzyć, to straszna, oczywista herezja! (*Chowa butelki i potarza*). Odrzekli się wódki!.... czy to być może?

STANISŁAW.

Tak jest panie Fugułka, odrzekliśmy się wódki, bo to jest trucizna dla duszy i dla ciała.

FIGUŁKA (*chwyta się za głowę*).

Ależ to być nie może! To chyba ja takiej jeszcze nie znam co truje. Prawda, jest tyle gatunków, coś chciałem powiedzieć, i gorzkie, i słodkie, i czyste, i kolorowane, i z różnemi etykietami; alem ja tej co truje, coś chciałem powiedzieć, jeszcze nie widział, anim o niej słyszał. Nasze wódki na Podlasiu, coś chciałem powiedzieć, to nie trują, bo inaczej jabym już dawno nie żył panie święty! A moskale....?

STANISŁAW.

Każda wódka jest trucizną, panie Fugułka, niszczy zdrowie, i jest przyczyną wiele złego.

FIGUŁKA (*zafrasowany*).

To chyba tutaj zagranicą, panie święty, ale temu trudno wierzyć, bo coś chciałem powiedzieć, to taki śliczny kolorek, a smaczek (*cmoka ustami*), to nie może otruć; a zresztą spróbuję w domu jak wrócę, czy to prawda, coś chciałem powiedzieć.

STANISŁAW.

Panie kościelny, jak chcecie, ale nie radzę próbować. (*Muzyka zaczyna brząkać*). Gawędzimy o wódce a ja jeszcze z panną młodą nie tańczyłem, a to mi się należy. (*Bierze Natalię do tańca, muzyka gra jedną strofkę krakowiaka, Stanisław staje przed muzyką i śpiewa, potem tańczą*).

(*śpiew*)

Kochane me dzieci, dziś wasze wesele,
Niech wam Bóg da szczęście i dziateczek wiele.

IGNACY (*bierze Natalię za rękę i staje przed Stanisławem i jego żoną śpiewa*).

Bóg wam zapłać ojczyste, za to polskie serce,
Żeście nas przyjęli, gdyśmy w poniewierce.

IGNACY (*po ukończeniu tańca staje z Natalią przed Stanisławem*).

Czcigodni ojcowie! pozwólcie, że was tak nazwę,

boście warci tego, za to dobre serce jakieście nam okazali. Nam w drogę czas, a więc Bóg wam zapłaci.

STANISŁAW (*rozrzuwiony*).

Nie mogę was zatrzymywać, więc idźcie z Bogiem. Idźcie do tej ziemi niewoli, a niech was aniołowie święci prowadzą i strzegą, a pamiętajcie, żeśmy bracia wasi.

WSZYSCY.

O tak, tak bracia.

STANISŁAW (*śpiewa, wtórują mu wszyscy*).

(*śpiewa*)

Powiedzcie tam naszym w tej ziemi niewoli
Że mamy Cesarza, który ich wyzwoli.

IGNACY i NATALIA (*śpiewają*).

(*śpiew*)

Bywajcie nam zdrowi z Bogiem tu zostajcie,
Myślcie o nas czasem, szczerze nas kochajcie.

(*Po ukończeniu śpiewu, zaczynają się całować, Figulka zbiera się do drogi, Janek chce mu pomóc nieść koszyk, Figulka się wzbrania.*)

FIGUŁKA.

Koszyka nie dam, bo to trzeba delikatnie dzwigać, — lecz weź chłopaczku, coś chciałem powiedzieć, dziecko.

JANEK.

Dziecko niech kobiety piastują.

MAŁGOSIA (*bierze dziecko od Zofii*).

Ja poniosę kawałeczek.

STANISŁAW.

Tak was samych nie puścimy... choć was za wieś wyprowadzimy.

(*Muzyka zaczyna grać jakiś smutny marsz, zaczynają wychodzić parami, muzyka naprzodzie, Figulka zostaje na końcu, guzdrze się z butelkami, muzyka cichnie.*)

FIGUŁKA.

Kiepskie wesele! (*daje sobie prztyczka w gardło*).
Myślałem, że się coś więcej wypije!

(*wychodzi*).

(*Zasłona spada*).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

ZDRADA.

Rzecz dzieje się w Olkusz, miasteczku powiatowem nadgranicznem w Królestwie.

(Scena przedstawia kancelaryę naczelnika powiatu, dwa stoły, na nich papiery rozrzucone, po kątach rozstawione kajdany, knuty i paliki).

SCENA I.

NIKALAJ MORDOW.

(Siedzi przy stole, wstaje, zaczyna chodzić, spostrzega butelkę przy drzwiach na ziemi, podnosi ją, odtyka, wacha, i uśmiechnąwszy się patrzy na nią pod światło).

MORDOW.

— Kto ty? Okowita. — Zkąd? Z żyta. — Gdzie idziesz? Gdzie trzeba. — Paszport jest? Niema panie. Wot tiebie tiurma. *(Zaczyna pić z butelki, spluwa, uśmiecha się, stawia butelkę na stole).* Czort ważmi tę służbę w Polsce! nie ma już kogo odzierać. U nas w Rosyi mówili, że tu jak w Kalifornii człowiek złoto zbiera, a tu nie i nie. Prawda, żeśmy mieli dobre czasy, ale to wszystko przeszło. Oj łowiliśmy, da łowili ryby i rybki

w mętnej wodzie, ha! ha! Orest Mamontow mój naczelnik, co był adjutantem — siiszczykom przy nieboszczyku Murawiewie Wieszatielu, to jedyny do tego. Winien czy nie winien, tak płać. Winien, płacił bo winien. Nie winien, no to płacił bo może zawinić. No i on brał, i ja brał, my wsie brali. To już taka nasza dola. Ale to przeszło. *(Zaczyna chodzić, spogląda oknem, chodzi i mówi:)* Polska! Polska! tożto przecie u nas w Moskwie mówią, że dlatego Bóg stworzył Polskę, aby Moskale mieli gdzie kraść, rozbijać i hulać, a tu już nie ma co brać!... No, i ja tu z moim naczelnikom Orestem Mamontowym przyjechałem, aby jak inni majątek zrobić, czyn zyskać i krestami się ozdobić. No szto? było wremia co brali... no i wzięli, teraz minęły te czasy, nie ma za co pohulać, czajku popić, papiroska wykuric' — bo co wziąć? Szlachcie nie ma nic, ksiądz cicho siedzi,... a chłop? no muzyk, co on da? Jeszcze z jewreja za pejsy, kapoty i szwarcunek można co pociągnąć. *(Wyjmuje z kieszeni szczoteczkę z lusterkiem, zaczyna się przeglądać, gładzi wąsy i robi różne miny).* Ah! bieda, kudaby nam jechać? Kakby to naszemu Caru wziąć na początek Galicyę! Wotby dzieło szło! Boże ty mój, Polaki tam bogate, wino, da wińco... pij, jedz, da w karmany biery!... Hospodi! *(Słychać pukanie do drzwi, Mordow biegnie do stołu, robi poważną minę, wołając:)* Zachadi!

SCENA II.

MORDOW i SZMUL.

(Drzwi się uchylają, wsuwa się głowa żydowska niespokojnie rzucająca oczami, potem wchodzi żyd, kłania się i stoi, niespokojnie się oglądając).

MORDOW.

A, Szmul, duszyczka, co ty tu robisz ptaszku?

SZMUL.

Ny, wielmożni pon som? a gdzie wielmożni pon nacielnik?

MORDOW.

Szmulu, cóż cię tu do nas sprowadza? cóż nam przynosisz?

SZMUL.

Ny, co jo przinius?... co jo miał przynosić?... jo tak chciół przinść, bo jo bardzo wielmożnemu panu nacielnik z psieprosinem kochom, — ny, jo i wielmożnemu panu kochom, i wielmożnemu caru takzie, choć jo z pod kajserlich-koeniglich Oesterreichamt, ny, a jo wsistkim wielmożnim z psieprosinim panom lubie... bo mnie z tego gesieft, ny, a wsistkim z psieprosinem wielmożnim panom z tego dobrze.

MORDOW.

No jewrój, ja ciebie znam, tyś tu darmo nie przyszedł, mów czego chcesz? ja ci to zrobię za połowę tego, cobyś miał dać naczelnikowi.

SZMUL.

A kiedy wielmożni pon nacielnik beńdzie? Win pojechoł? Jo chciółem o jeden maleńki interes z nim pogodać. Jo chciółem o tego wódka mówić, co to chłopcy w mego karémie wzieni, a potem ich kozoki chwytnieli.

MORDOW.

A, wiem, to szwarcunek, — bekniecie wy porządnie, chłopcy złapani w kozie siedzą. To sprawa najmniej dwieście rubli będzie kosztować i tak jeszcze dobrze zyskacie.

(Słychać turkot, ktoś zajeżdża. Mordow wyrzuwszy przez okno, wypycha Szmulę za drzwi, biegnie do stołu, chwytając butelkę, pije i stawia przy drzwiach, siada pisać. Słychać kroki i krzyk, otwierają się drzwi i wpada Orest Mamontów a jednocześnie słychać:) A swołocz! Driań! Sukiny diety!

SCENA III.

MORDOW i MAMONTOW.

(Mamontow wpada, zrzuca płaszcz na ziemię, Mordow go podnosi i kładzie na stolku. Mamontow idzie ku stolowi z batem kozackim w ręku i takowy kładzie na stole).

MAMONTOW.

A szto Mordow?

MORDOW.

Niczewo wasze błahorodie, jewrój na was czeka, a więcej nowego nie ma nie.

MAMONTOW.

Czego on chce?

MORDOW.

Nie magu znać.

MAMONTOW.

Prizowi jewo.

(Mordow idzie sztycno za drzwi, tam zostaje, a żyd wchodzi).

SCENA IV.

MAMONTOW i SZMUL.

(Szmul wchodzi, kłania się nisko czapką w jednej ręce, a mycką w drugiej, powtarza to kilkakrotnie zginając się w pół i stoi przy drzwiach).

MAMONTOW.

A Szmul! czego chcesz?

SZMUL.

Wasie błahorodie, wielmożni panie nacielnik! jo tu psichodziółym za jeden bardzo fajne a delikatne z psieprosinim interes. Wielmożni pon mi zno, co jo cłowik zietelni a spokojni, co jo bardzo wielmożnemu panu z psieprosinim lubie... ny, tak ja psisedł coby wielmożnemu panu jeden bardzo fajne a delikatne interes powiedzieć.

MAMONTOW.

No, gowori skoro, czego chcesz?

SZMUL.

Ny... jo mom grojse fiś dla wielmożnigo pana, grojse fiś... aj waj *(cmoka ustami).*

MAMONTOW.

No, gowori Szmul, ty harosz.

SZMUL.

U mnie w karéma jest odin chłop i zione jego, i jakiś wason z klajnym zieckiem, co uni tu są z Królestwo z pod jaśnie najjaśniejszemu cysarzowi ruskiemu, co uni nie chcieli z psieprosinim ruskie wiare wierzić... a chodzili sobie do Krakowa na wesele i na krzćiny... jo im obiecoł bez granicuw wiprowadzić, coby im kozok z psieprosinim nie chwitniół, i uni tam są w karéme... ny, jo tak psised do wielmożnemu panu powiedzieć, co jo ich poprowadze, a co ich wielmożni pon z psieprosinim mozie chwitnić.

MAMONTOW.

No haraszo jewrój... ty maładiec, wot tiebie rubel. *(daje mu rubla).*

SZMUL *(bierze rubla, kłania się, chucha na niego i chowa).*

Ny, wielmożni pon wi, co jo choć Esterreich, ny, jo ruskich lubić... jobim chciół wielmożnemu panu jeście jeden delikatne interes powiedzieć... wielmożni pon wi, co do tego wódka z psieprosinim co go chwitnieli zisaj... Wielmożni Panie, to tilko ziartem tak się stało... chłopcy, nu z psieprosinim zwiciajnie chłopcy... uni wypieli, to im zawierciało w głowie... uni wzieni tego wódka, coby go nieść w tamte strone *(robi znak ręką w jedną stronę)*, ny, im sie w głowie odwrócielo i pošli w drugie strone *(robi znak ręką w przeciwną stronę)* i uni wleżli do Królestwo... a kozok? ny, kozok, un ich chwytiniół... tak uni widzieli co uni się zmileli, ny, uni chcieli

iść nazad, do domu... ny, kozok ich nie chciał puścić, tak uni siedzą w kozie, ny, a ja z psieprosinem wielmożni panie, co mnie do tego nie, psieśedłem prosić, coby im puścić.

MAMONTOW.

Ho, ho... a czy ty jewrój wiesz, że to kontrabandy na dwieście rubli... no, słuchaj, jasno do rzeczy, co dasz? daj sto rubli a puszcę chłopów i okowitę, — napiszemy w raporcie do dyrektora, że to pomyłka zaszła.

SZMUL (*kręci głowę, udając przerażonego*).

Sto rubli! sto rubli!... coby jo tak z psieprosinem zdruw buł, sto rubli!... ny, sto rubli!... ist a grojse gesieft ordiner brentwein!... sto rubli!... ny, wielmożni pon jest wielmożni pon, ny, jo jezdym a arme id, — jo wielmożnimu panu tych chłopów co z psieprosinem psied ruskie wiare uciekneli, psiwiód, a wielmożni pon nie chce puścić tego wutkie, co un bez omilkie włos do Królestwa!... ny, jo dom dwaziesięcia pęcz rublów i tych chłopów z ziekiem... niech wielmożni pon, coby jo tak zdruw buł, kaze puścić.

MAMONTOW.

Ostatnie słowo, piędziesiąt rubli, ani kopiejkę mniej, jak chcesz.

SZMUL (*drapie się*).

Pieñziesiąt rublów! co mnie robić? (*Wyjmuje pieniądze i płaci...* Wielmożni panie, samemi kamponami płacę, pięñziesiąt rublów.

(*Mamontow schowawszy pieniądze dzwoni... wchodzi Mordow i Żandarm*).

SCENA V.

CIŻ SAMI, MORDOW i ŻANDARM.

MAMONTOW.

Żandarm, weźmiesz Iwana i pójdziecie za tym jewrejem (*wskazuje żyda*) na miejsce, które on wam pokaże, tam przyjdą z zagranicy ludzie, pojmiacie ich, i tu przywiedziecie.

ŻANDARM (*salutując ręką*).

Shuszaju! (*wychodzi z żydem*).

SCENA VI.

MAMONTOW i MORDOW.

(*Mamontow idzie ku stołowi, przewraca papiery i śpiewa*).

(*śpiew*)

Prijechali tri sałdata,

E!... prijechali...

(*bierze papier złożony jak ekspedycja urzędowa, rozłamuje pieczęć, przestaje śpiewać i czyta głośno*).

Z kancelaryi Gubernatora z dnia 15 stycznia 1875 roku, Nomier 375. Wzywa się naczelnika powiatu, o ściśle poszukanie w jego powiecie niejakiego Iwana Zubowa, obwinionego o kradzież, zabójstwo i inne przestępstwa, po złapaniu takowego należy go odstawić do gubernialnego więzienia.

podpisano Caplygin, gubernator.

(*Skończywszy czytanie, mówi głośno tonem rozkazującym*).

Mordow! piszy.

(Mordow siada pisać).

MAMONTOW *(dyktuje)*.

Do jaśnie wielmożnego pana gubernatora!.. Na odezwę z dnia 15 stycznia br. nomier 375, imieju cześć doniesti, szto po ścisłem i usilnem przeszukaniu całego powiatu, Iwana Zubowa nie naszło.

Mordow! który dzisiaj dzień?

MORDOW.

Pierwszy marca.

MAMONTOW.

Piszy, pierwszego maja.

(Po ukończeniu pisania, Mamontow bierze pióro, podpisuje, a Mordow zaczyna składać ekspedycję).

MAMONTOW.

Położ teraz ekspedycję pod kamień, niech się odleży. „Puśt' bumaha wystaitsia.“ — Albo on to polityczny przestępca, żeby go szukał... ruskij czelawiek, biedniaga, papalsia, palaka ubił! czorto jewo biery!... *(zaczyna śpiewać).*

(śpiew).

Prijechali tri sąldata,

E!... prijechali...

SCENA VII.

CIŻSAMI i MAKSYM.

(Maksym ubrany po podróżnemu, wchodzi nieśmiało i kłania się).

MAMONTOW.

Ty, coś za jeden?

MAKSYM *(zmięszany, milczy, rzuca niespokojnie oczami).*

Panie naczelniku! ja jestem z Podlasia, chciałem się żenić z jedną dziewczyną, ale ta mnie nie chciała i poszła z innym do Krakowa na ślub, ja ich śledziłem i wiem, że oni są za granicą u żyda i mają tędy przechodzić, przyszedłem powiedzieć, żeby ich pan naczelnik kazał złapać.

MAMONTOW.

My mamy dobrą policyę, przed nami nie się nie ukryje, — wiemy o twojej dziewczynie, zaraz ją tu zobaczysz, — a paszport masz?

MAKSYM *(zmięszany).*

Paszport? *(chwytając się bezmyślnie za kieszeń)* panie naczelniku! ja nie mam paszportu, bom ja myślał, że go nie potrzebuję; mnie już przepisano na... prawosławie!

MAMONTOW.

Przepisano ciebie, to znaczy, żeś ty unitą w duszy, i nie przez wierność do tronu, ale przez zazdrość przychodzisz z donosem.

SCENA VIII.

CIŻSAMI i ŻANDARM.

ŻANDARM (*salutując*).

Wasze błahorodie, priwieli, jednak nieszczęście się stało, żyda ubili.

MAMONTOW.

Jakiego żyda?

ŻANDARM.

Szmula, tego który nas prowadził.

MAMONTOW.

A to jakim sposobem?

ŻANDARM.

Żyd wprowadziwszy ich na nas zaczął uciekać, myśmy dla niepoznaki zaczęli wołać, aby go chwymano, i kozak, który o tem nie wiedział, strzelił do niego i zabił go.

MAMONTOW.

Czort jewo bieri! Mniej jednego padleca. Dawaj tych ludzi.

(Żandarm otwiera drzwi, Maksym usuwa się na bok, wchodzi Ignacy, Natalia która płacze, za nimi Figułka na jednej ręce trzyma dziecko, w drugiej ręce trzyma koszyk z butelkami, który stawia przy drzwiach na ziemi. Maksym stoi ponury).

SCENA IX.

CIŻSAMI, IGNACY, NATALIA i FIGUŁKA z DZIECKIEM.

MAMONTOW (*do Ignacego i Natalii*).

Sukiny diety, wy kto takije?

IGNACY.

Panie naczelniku, my ludzie uczciwi, nikomu nie winni, spotkało nas nieszczęście. My jesteśmy z Podlasia, unieci, chodziliśmy do Krakowa brać ślub w katolickim kościele, bo nam tutaj nikt z księży łacińskich ślubu dać nie chciał, a księży uniekich u nas nie ma.

MAMONTOW.

A szielmy! albo to prawosławna wiara zła? to carska wiara, a wy się buntujecie, i nie chcecie wierzyć tak, jako car wierzy, lecz jak polskie ksiendzy, panowie, palaki-buntowszczyki i papież. A kanalie! budżet wam, budżet. (*grozi im*).

IGNACY.

My ludzie prości, wierzymy tak jak wierzyli ojcowie i dziady nasze, którzy zawsze trzymali się tej wiary, co papież uczy, i której przez długie czasy, bo prawie przez tysiąc lat trzymali się Grecy i którą Sławianie przyjęli... a carska wiara później powstała.

MAMONTOW.

Eh! ty mudree, małczy! Żandarm zakuć ich. (*Żandarm wyciąga kajdany, i wybiera z nich dwoje, kuje Ignacego i Natalię na ręce, Mordow bierze nieznacznie jedną butelkę odtyka i wacha, uśmiecha się i kradnie trzy*

butelki, żandarmi resztę kradną, koszyk zostaje pusty. Figulka przez cały ten czas huśtał dziecko).

FIGUŁKA.

A ja, wielmożny Sznapskapitanie, czy mogę sobie pójść? coś chciałem powiedzieć.

MAMONTOW *(mierzy go oczami).*

No, a ty gaspadin, ty kto?

FIGUŁKA.

Ja, coś chciałem powiedzieć, jestem ojcem tego oto dziecka swojego. *(pokazuje dziecko).*

MAMONTOW *(rozniewany).*

Durak, ja się nie o to pytam, tylko zkąd ty jesteś?

FIGUŁKA.

Ja jestem, coś chciałem powiedzieć z tego samego miejsca co i ci państwo młodzi.

MAMONTOW.

Ty gdzieś chodził?

FIGUŁKA.

Wielmożny Sznapskapitanie, ja mam żonę, więc nie mogłem tak jak ci oto państwo chodzić za ślubem.

MAMONTOW *(rozniewany).*

Eh! ty, *(grozi mu)* odpowiadaj na pytania. Czy masz ty paszport?

FIGUŁKA.

Pisanego nie mam, tylko oto taki bez pieczętki. *(podnosi nogę i pokazuje podeszwę).*

MAMONTOW.

Ah! ty szelmo, ty sobie żartujesz jeszcze!

FIGUŁKA *(kicha bardzo głośno).*

Wielmożny Sznapskapitanie, czy mogę tę odrobinę tutaj położyć, bo coś chciałem powiedzieć, muszę sobie nos utrzyć. *(Idzie ku stolowi i kładzie dziecko).*

MAMONTOW.

Nie kładź tam! czy ty wiesz, że to carski stół, bierz tego bębna.

FIGUŁKA *(uciera nos i ogląda się na koszyk, a spostrzegłszy, że nie ma butelek, biegnie do koszyka, podnosi go do góry i woła biegając:)*

Lekarstwa, moje lekarstwa zginęły mi, skradziono mi lekarstwa, coś chciałem powiedzieć, ja je tu przyniosłem wielmożny Sznapskapitanie, a teraz nie ma nic w koszyku tylko pustki.

MAMONTOW *(zaczyna biegać i woła:)*

Ja z tą szelmą zwaryuję. Żandarm, okuj go. *(Żandarm bierze kajdany i idzie ku Figulce, a ten biega z koszykiem i woła:)*

FIGUŁKA.

No, ktoby się spodziewał, żeby tu u wielmożnego Sznapskapitana, coś chciałem powiedzieć, mogli okraść biednego człowieka?

Żandarm wydziera mu koszyk i zaczyna go kuć na ręce).

Czy wielmożny Sznapskapitanie i to moje dziecko będzie okute, coś chciałem powiedzieć?

MAMONTOW.

Poczekaj szelmo, nauczę ja cię, bierz tego bębna.

FIGUŁKA *(idzie ku stołowi i nie może wziąć poduszki).*

Wielmożny Sznapskapitanie, kiedy nie mogę wziąć, co tu robić? coś chciałem powiedzieć?

MAMONTOW.

Żandarm okuj go na nogi.

(Żandarm zdejmując mu kajdany z rąk i zakłada na nogi.

Figułka tymczasem mówi).

FIGUŁKA.

Wielmożny Sznapskapitanie, a moje lekarstwa, coś chciałem powiedzieć.

MAMONTOW *(biega).*

Poczekaj, dam ja ci lekarstwo.

FIGUŁKA *(bierze dziecko, odchodzi od stołu i zaraz na pierwszym kroku chce się przewrócić).*

Wielmożny Sznapskapitanie, niech mi wielmożny pan pokaże jakto się chodzi w kajdanach, bo ani ja, ani mój ojciec, ani żaden Figułka nie chodził w kajdanach, coś chciałem powiedzieć.

MAMONTOW *(krzyczy).*

Ruszaj won!

FIGUŁKA *(idzie i przewraca się, dziecko wypada).*

Gwałtu! moje dziecko, moje kości! *(nie może wstać, leży na ziemi).*

MAMONTOW.

Mordow, bierz dziecko! Żandarm rozkuj go! A to szelma, jeszcze z nikim nie miał tyle kłopotu *(zaczyna biegać).*

(Mordow podnosi dziecko, żandarm zdejmując Figulce kajdany i pomaga mu wstać; następnie Mordow oddaje dziecko Figulce, Figułka bierze je i zaczyna huśtać.

MAMONTOW.

Żandarm! zamknąć ich wszystkich, — i tego zardosnego kawalera. *(Wskazuje na Maksyma. Natalia i Ignacy oglądają się).*

NATALIA *(sposzregłszy Maksyma).*

Ah! Maksymie, więc tak się zemściłeś!

(Maksym zastania sobie twarz i oczy obiema rękami)

MAMONTOW *(biega i wywija batem).*

A buntowszczyki! Lachy! Ruska wiara nie harasza! a czemuże *(staje naprzeciw Ignacego)* ruskie ksiendzy z Galicyi ją przyjęli? czemu tu do nas przyszli? gowori!

IGNACY.

Panie naczelniku! ja nie wiem dlaczego. Ludzie mówią, że oni żadnej wiary nie mają, a za pieniądze to zrobili, i gdyby im żydzi lepiej zapłacili, toby oni dzisiaj cara zdradzili i wyparli się krzyża, aby żydami

zostać, bo oni mają Judasza za patrona, co to Chrystusa Pana sprzedał.

MAMONTOW *(rozgniewany)*.

Małczy!... Do więzienia tymczasem, a jak papiery będą gotowe, to was się pośle do Warszawy, a potem? no potem jako buntowszczyki w Sybir. — Paszli won. *(Żandarm otwiera drzwi, wychodzi Ignacy, Natalia, Figulka we drzwiach obraca się)*.

FIGUŁKA *(do Mamontowa)*.

Wielmożny panie Sznapskapitanie! okropnie sobie stłukłem żołądek, choć odrobinę mojego lekarstwa, coś chciałem powiedzieć, bo mogę umrzeć.

MAMONTOW *(rozgniewany)*.

Paszł won!

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

KARA.

ODSŁONA I.

Rzecz dzieje się na Syberii, w Katordze.

(Scena przedstawia las gęsty, drzewa kolosalnych rozmiarów, z boku stoi Kozak buryat, słychać brzęk kajdan i bicie młotów i kilofów).

SCENA I.

KOZAK BURYAT *(mina dzika, nędznie ubrany)*.

KOZAK *(włożywszy dwa palce w usta gwizdże przeciagle)*.

No, gaspada, pany, już południe, czas objad jeść. *(Stukanie młotów i kilofów ustaje, wychodzą więźniowie jeden za drugim w kajdanach na nogach, Maryan, Franciszek, Ksiądz Jan, Michał, Wiktor i Maksym, za nimi dwóch kozaków)*.

SCENA II.

TENSAM, i MARYAN, FRANCISZEK, KSIĄDZ JAN, MICHAŁ, WIKTOR, MAKSYM i DWAJ KOZACY BURYACI.

(Więźniowie siadają pod drzewem, dostają czarnego chleba z torby i soli w papierku, zaczynają jeść, oprócz Maksyma,

który usiadłszy chowa twarz i oczy w ręce i tak siedzi pochylony. Kozacy stoją z boku i rozmawiają pocichu).

WIKTOR (do Maryana).

Więc cię Maryanie już wypuścił, jakże to było? bo ja byłem chory w bolnicy, nie wiem jak to się stało? o co to poszło?

MARYAN.

Jak się stało? Kopaliśmy rudę jak zwykle przez cały dzień. Już się zaczęło zmierzchać, a oficera nie widać i nie widać, — już gwiazdy dobrze świeciły a my jeszcze kopiemy. Kozacy zaczynają się niecierpliwić i mówić: pewnie oficer zagulał gdzie i podpiły gra w karty, a my do jutra będziemy czekać i jego się nie doczekamy. Odzywam się tedy, a to chodźmy do domu, przecież są z nami kozacy, pójdziemy pod konwojem, nie może się więc na nas gniewać, żeśmy do późnej nocy na niego nie czekali. Prawda, że to dzikie zwierze, lecz za to nie może się gniewać. Tak rzekłem, i wszyscy przestali tłuc rudę i jak zwykle pod strażą idziemy do naszych ziemianek. W połowie drogi widzimy a tu biegnie nasz dozorca-smotritiel i wyjawwszy pałasz z pochwy zaczyna wołać: kto pazwalał? Kozacy struchleli, a ja z Franciszkiem idąc w pierwszym szeregu odezwałem się: już ciemno, myśleliśmy, że pan oficer gdzie pojechał, lub o nas zapomniał, więc idziemy do domu. Ja wam buntowszczyki pakażu! zacznie wołać. Jeto bunt! i zaledwie przyszliśmy do kazarni, mnie i Franciszka wsadził do tej szafy co tam stoi w sieni w bramie, a zamknawszy na kłódkę zapieczętował, gdzieśmy siedzieli trzydzieści sześć godzin

o głodzie. Całe szczęście, że przez szpary mieliśmy dostać powietrza, aby się nie udusić. Oto cała historia.

WIKTOR.

A to łotr! gdyby tak na mnie, jabym się zamknąć nie dał. Zginę, to zginę, lecz się nie dam znęcać nad sobą.

KSIĄDZ JAN.

Ależ Wiktorze! gorączka jesteś. I cóżby z tego było, że cię zabijają? Czy to mało już polskiej krwi rozlano? czy to mało naszych kości bieleje po stepach i wawozach syberyjskich, wołających o zmiłowanie do nieba? Pan Maryan i Franciszek milczeniem odnieśli w tym razie zwycięstwo nad dzikiem zwierzęciem. Tybys zginął, a przecież masz ojca i matkę, którzy we łzach oczekują twego powrotu, więcby cię nigdy nie ujrzeni. Najlepiej krzywdę swą zmileć, a po chrześcijańsku Bogu ją ofiarować. Wierzaj mi kochany Wiktorze, jam stary, niejedno widziałem, niejedno słyszałem, więc z doświadczenia mówię, że najlepszą sprawiedliwość wymierzy Pan Bóg. Lecz co to słyhać, podobno w przedostatnim konwoju złodziejskim przywiedli jakiegoś polaka, jako politycznego przestępcę. Od miesiąca leży on w bolnicy w gorączce, płacze, rzuca się. Tak mi mówił feler, co mi maść na rany od kajdan przynosił.

FRANCISZEK.

Za cóżby teraz jeszcze zsyłano po tylu latach powstania? Wszak i z tych kilku tysięcy katorżników z onego czasu, tylko nas garstka została. Cóż więc znowu mogło się stać, że zsyłają na Sybir?

MICHAŁ.

Że się tam coś u nas znowu musiało zrobić to nie ulega wątpliwości, boć i ten oto (*wskazuje na Maksyma*) świeżo tu przysłany; tylko cóż, od niego nie się nie można dowiedzieć, mileczy i mileczy.

KSIĄDZ JAN.

Dajcie mu pokój, widać spotkało go wielkie nieszczęście. — Moskale, którzy umia dręczyć, musieli go okropnie namęczyć, zamknął się w sobie, ich się lęka i nam choć noszącym takiesame jak i on łańcuchy, boi się zaufać.

WIKTOR.

Ja zaś jak mnie co boli, to zaraz powiem; bo w wygadaniu się znajduję ulgę.

KSIĄDZ JAN.

Felezer opowiadał mi, że on w gorączce mówi różne rzeczy, o jakimś człowieku co go zdradził (*Maksym się wstrząsa*), o żonie, o matce, — to znowu, że nie chce być prawosławnym, itp. rzeczy.

MARYAN.

To pewnie jaki unita z Podlasia, — bo nawet dzisiaj rano kiedy nas puszczone z szafy, gdzieśmy zamknięci i zapieczętowani siedzieli, wezwano nas do kancelaryi naszego naczelnika, i tam stojąc widziałem na stole gazetę moskiewską, w której, o ile mogłem z daleka przeczytać, było pisane, iż to co napisał o prześladowaniu unitów angielski konsul w Warszawie Mansfeld nie jest prawdą. Że w Rosyi unitów nie prześladowują,

że to kłamstwo i polsko-angielskie wymysły. Otóż być może, że jakiego unitę lub wmięszanego w ich sprawę przyprowadzono.

WSZYSCY.

A, być może.

(*Słychać brzęk łańcuchów, kozaki otaczają zdaleka więźniów, kroki się zbliżają, wchodzi Ignacy w aresztanckiem odzieniu, kajdany na nogach, blade, za nim Siemion Gawryłow*).

SCENA III.

CIŻSAM, IGNACY I SIEMION GAWRYŁOW.

(*Na widok Siemiona Gawryłowa więźniowie powstają. Gawryłow figura pękata z czerwonym nosem, więźniowie patrzą na Ignacego*).

MAKSYM (*zobaczywszy Ignacego, wstrząsa się i mówi na stronie*).

Ah!... to on.

SIEMION GAWRYŁOW (*do kozaków, którzy prezentują broń*).

A szto Palaki, pany... śmirno?

KOZAK.

Da, wasze błahorodie, spokojni.

SIEMION GAWRYŁOW.

Haraszo! miejcie ich na oku. Oto jeden jeszcze, (*wskazuje Ignacego*) i on do roboty. (*Zwraca się do więźniów*). No, pany,.... śmirno (*robi ruch ręką jakby im groził, odchodzi, kozacy prezentują broń*).

SCENA IV.

CIŻSAM, OPRÓCZ SIEMIONA GAWRYŁOWA.

(Więźniowie oprócz Maksyma otaczają Ignacego, który błędnymi oczami po nich wodzi, kozacy wracają na swoje dawniejsze miejsce. Maksym wzburzony siada, wstaje, rzuca oczami to na Ignacego to na więźniów, znowu siada).

FRANCISZEK (do Ignacego).

Któż ty jesteś? Czy Polak?

IGNACY.

(Usłyszawszy polską mowę, wstrząsa się i rzuca ku niemu).

To wy Polacy? A chwała Bogu! toć między swymi będę.

FRANCISZEK.

No siadaj bracie.

MARYAN.

Siadaj nowy towarzyszu niedoli. (Wszyscy stoją, oprócz Maksyma).

FRANCISZEK.

Zanim się dowiemy o twoich losach, musisz się z nami poznać. Ot widzisz najstarszy pomiędzy nami to Ksiądz Jan ze Żmudzi (Ignacy podchodzi ku niemu a zanim ten zdolał cofnąć rękę, już go Ignacy pocałował. Ksiądz Jan bierze go w swoje ramiona i całuje). To pan Maryan, profesor z Ukrainy (podają sobie ręce). To pan Michał urzędnik z Warszawy, (podają sobie ręce). To pan Wiktor, miał swą wieś w Kaliskiem, (podają sobie

ręce). No, a ja dawniej nosilem szlify w carskiej gwardyi, dzisiaj noszę kajdany tak jak i moi towarzysze. (Bierze go za rękę). No a teraz siadaj, mamy jeszcze chwilkę czasu, opowiedz nam o swoich losach, kto jesteś, i co tam u nas słyhać (siadają). A przepraszam, jeszcze mamy jednego towarzysza, (wskazuje Maksyma lecz ten odwrócony, spuścił głowę i zastonił twarz rękami, tak, iż Ignacy go nie poznaje), lecz to jakiś bardzo nie-szczęśliwy człowiek, niedawno przybył, nie do nas nie mówi, więc go nie zaczepiaj bo to napróżno. (Ignacy spojrział na niego lecz nie wstaje).

IGNACY.

Ja, moi panowie, jestem człowiek prosty z Podlasia.

WSZYSCY (przerywają mu).

Tyś nasz brat! tyś człowiek uczciwy.

IGNACY.

Otóż jestem z Podlasia, unita.

(Wszyscy spoglądają po sobie).

MARYAN.

A co? zgadłem.

IGNACY.

U nas panowie, bieda. Moskale zgniotłszy powstanie, pomalutku wzięli się do nas unitów; i gdy nasi unicy księża nie chcieli tego robić co im rząd nakazywał, pousuwali ich, porozsyłali po Rosyi i Syberyi, a sprowadzili sobie księży-ruskie z Galicyi, odstępców, — i ci ludzie bez wstydu i bojaźni Boga, przy-

jeli schizmę i pierwszymi stali się szpiegami moskiewskimi.

(Ogólne oburzenie wśród słuchaczy).

MARYAN.

Widzisz bracie, my tak daleko od swoich, w kartorze, nie wiemy co się tam u was dzieje; bo listy nasze czyta oficer, a gazet nie dają. Chyba nas wypadkiem coś dojdzie. Więc nie wiedzieliśmy, że się jeszcze nasza krew leje.

IGNACY.

Otóż nasi prawowici księża nie chcieli prawosławia przyjąć, ani carskich wrót w cerkwi, więc ich usunięto, a nowi wszystko zrobili co rząd chciał. Nastaly ciężkie czasy, więziono ludzi, bito różgami, zabierano dobytek, kazano kary płacić, nie to nie pomogło. Silniejszych rząd wysłał do różnych gubernij w Rosyi, a najwięcej do Chersonu i Jekatierynosławia bo przeszło sześciuset gospodarzy, wysyłano i kobiety. W kilku miejscach strzelano do ludu co nie chciał do cerkwi wpuścić popa galicyjskiego, zabito i raniono wielu, a nawet do tego sam rząd się przyznawał w gazetach. Tak się ciągnie ta rzecz i końca nie ma. Nasi nie chcą ani dzieci chrzczyć w cerkwi prawosławnej, ani ślubów brać. Z dziećmi do chrztu do Galicyi i do Prus chodzą, choć to droga ciężka i daleka i wiele kosztuje; a jednak wszystko to wolą znosić aniżeli carską wiarę przyjąć.

KSIAŁDZ JAN *(wzruszony)*.

Wy młodszy tego nie pamiętacie, ale tak było z unią i za Mikołaja. W Królestwie nie tykano unii, ale na Litwie i Wołyniu krew lała się okropnie. Niszczono i

mordowano,.... no i zrujnowali wszystko,.... choć pod popiołem tleje ogień prawdziwej wiary,... bo tę trudno ludziom z serc wyrwać. Dzisiaj rujnują unię w Królestwie, a jak tę zniszczą, przyjdzie kolej na łacinę... *(chwilę milczy)*. Ale Bóg dobry i sprawiedliwy skróci tę straszną godzinę kary narodu. Więc i ciebie bracie za to żeś carskiej wiary nie przyjął, tutaj zesłano?

IGNACY.

Tak ojeze, ale mój los jest straszliwie ciężkim.

FRANCISZEK.

Tak jak i wszystkich, co ich tutaj zesłano.

IGNACY *(ze łzami i wzruszonym głosem)*.

Nie ubliżam wam panowie, ale nikt z was tyle nie cierpiał i nie cierpi, co ja nieszczęśliwy.

MICHAŁ.

A to jakim sposobem?

WIKTOR.

Cóż cię takiego spotkało, że możesz mówić, iż więcej od nas i od innych cierpisz? Wytlómacz nam to.

IGNACY.

Posłuchajcie panowie, a sami uznacie jak wielkiem jest moje nieszczęście.

WSZYSCY.

Mów, mów, słuchamy.

IGNACY.

W naszej wsi była dziewczyna....
(*Maksym się wstrząsa, ale tak, iż się niektórzy oglądają*).

WIKTOR.

O! już wiem, zakochałeś się i nie dali ci się żenić...

FRANCISZEK.

Ależ Wiktorze, jakiś ty gorączka, nie nie wiesz a przeszkadzasz.

IGNACY.

Otóż gorzej się stało,.... bośmy się pokochali, jam się jej rodzicom skłonił, i dali mi ją... (*Maksym znowu się wstrząsa, niektórzy się oglądają*). Ale cóż? ani jej ojcowie, ani moja matka, ani my sami nie chcieliśmy się zgodzić, byśmy u popa ślub brali. Więc rada w radę, postanawiamy tak jak tylu innych pójść do Galicyi, aby tam u katolickiego księdza ślub zawrzeć. Poszliśmy do Krakowa.

WSZYSCY.

Byłeś w Krakowie.

IGNACY.

Byłem i to pół roku temu.

WSZYSCY (*zaciekawieni spoglądają po sobie*).

W Krakowie? pół roku temu?

IGNACY.

Wszystko nam poszło dobrze, ślub dostaliśmy za-

raz, poczciwi choć nieznajomi ludzie sprawili nam wesele, dopiero gdyśmy wracali, na granicy zdradził nas jeden z naszej wsi.

MAKSYM.

To nieprawda! Nie ja was zdradziłem.

(*Wszyscy się oglądają, ogólne wzruszenie*).

IGNACY (*spostrzega go*).

Co ja widzę? to Maksym! To on! tak, to on nas zdradził.

PARĘ GŁOSÓW.

To okropne! to haniebne!

MAKSYM (*zrywa się*).

Nie ja was zdradziłem, choć chciałem się zemścić.

IGNACY.

Cóż tam robił w kancelaryi u naczelnika, gdy nas przyprowadzono?

MAKSYM.

Tak, prawda, poszedłem tam, aby się zemścić na tobie żeś mi ją wydarł, na niej, że mnie nie chciała, na was obojgu, abyście nie byli szczęśliwi. Poszedłem, lecz już było zapóźno, już was kto inny zdradził.

WIKTOR.

Więc zdrajcę pomiędzy nas dano.

KSIĄDZ JAN (*do Maksyma*).

Zemsta, to straszna rzecz, nigdy na dobre nie wyjdzie.

MARYAN.

Nie polska to i nie chrześcijańska rzecz z moskalami spiskować.

MAKSYM (*przygnębiony*).

Tak, prawda! ale w mej duszy piekło zapaliło zazdrość. Poszedłem ich zgubić, zabić ich szczęście, tymczasem oni już byli zgubieni, i ja siebie tylko zgubiłem; a za to wszystko teraz pokutuję. Czcigodni panowie! (*zwraca się do więźniów*), jeśli z was kto w swem życiu kochał szczerze, serdecznie, uczciwie, o ten pojmie rozpacz moją! Ja nie wiem co się ze mną działo, byłem szalony, dlatego poszedłem spełnić czyn podły;.... lecz gdybym do ostatka chciał być niktzem, z pewnością nie nosiłbym tego łańcucha (*porusza nogą*).

KSIĄDZ JAN.

Tak, to prawda, lecz lepiejby było, gdybyś nie potrzebował pokutować.... (*po chwili*).... Stało się mój bracie,.... dzisiaj w jednym jarzmie chodząc, powinniście się pojednać, podać sobie dłonie w imię Chrystusa, w imię naszej wspólnej matki Polski.

MAKSYM (*wzruszony*).

Ojeze! ja wiem, że on nieszczęśliwy i ona nieszczęśliwa; pragnąłem tego, lecz dzięki Bogu nie jestem przyczyną ich strasznego losu; mimo to nie śmiałybym wyciągnąć ręki do niego i powiedzieć przebac mi, darujmy sobie.

MARYAN.

A jednak powinniście to uczynić.

KSIĄDZ JAN.

W takim nieszczęściu, to tak jak nad grobem, najwięksi wrogowie podają sobie dłonie.

WSZYSCY.

Pojednajcie się, przebaccie sobie.

IGNACY (*wstaje i wyciąga do Maksyma rękę*).

Ja ci mój bracie wszystko przebaczam.

MAKSYM (*zbliża się do Ignacego i chwyta go za rękę*).

Bądź szczęśliwym.

KSIĄDZ JAN (*wznosi oczy do nieba*).

Chwała Bogu!

WIKTOR.

No, kiedy się tak szczęśliwie stało, siadajcie i mów (*do Ignacego*), kochany bracie, jak się tu dostałeś, bom bardzo ciekawy twej historii. Niewypowiedziany urok mają dla mnie historye serc zakochanych, a do tego tak nieszczęśliwych. Siadajcie! (*Ignacy i Maksym siadają*).

IGNACY.

Na granicy nas ujęto, a po spisaniu protokołu odstawiono do Warszawy, gdzie nas trzymano parę tygodni, a potem jednego dnia, o! nigdy go nie zapomnę, przywieźli nas do kancelaryi jakiejś i tu zapytano, czy

chcemy przyjąć prawosławie. Gdyśmy stanowczo odrzekli, że nie, wtedy ten najstarszy moskal co tam był, rzecze: „Ignacy, czy kochasz ty swoją żonę”? Tak jest, odrzekłem. „Otóż masz do wyboru, albo zaraz podpiszesz się na prawosławie, i przyjdzie tu pop co was pomaże mirom, i pójdziecie do swej wsi do domu,.... albo jeśli nie, to w Sybir, jako buntowszczyki.“ Zaćmiło mi się w oczach, nogi podemną zadrżały gdy to usłyszałem. Za taką cenę mam kupić szczęście! O mój Boże!... Nie wiem jak długo stałem niemy, dość, że mnie żandarm z tyłu szturknął,.... przyszedłem do siebie i mówię: „O panie! kimkolwiek jesteś, miej litość nademną. Nie żądam odemnie takiej ofiary. Sumienie nie pozwala mi zmieniać wiary. Ojcowie nasi nie przyjęliby mnie, Bóg by mi nie błogosławił. O! miej litość nad nami“!.... A w tem moja żona rzecze: „Panie, to jest mój mąż, któremu ślubowała miłość i którego kocham, bo jest dobrym i uczciwym człowiekiem; lecz gdyby za tę cenę chciał kupić pożycie ziemną, panie! jaby nie chciała z nim żyć, ani go znać; bo człowiek co zdradza sumienie, Boga,.... nie nie wart.“ Na takie powiedzenie, ów pan spojrzał ostro i rzecze: „A więc sami na siebie podpisujecie wyrok. Ignacy jako buntowszczyk nie chcący słuchać woli cara, pójdzie w Sybir, aby druzgich nie buntował. A i ty krasawico nie pójdziesz do domu, tylko gdzieindziej.“ To rzekłszy, skinął na żandarmów, a ci mnie porwali i dalej prowadzić, a ją w drugą stronę. Krzyknęła biedaczka, rzuciła się ku mnie, lecz nas rozerwali.... i już jej więcej nie widziałem (*ocięra oczy*).

WSZYSCY.

O nieszczęśliwy, a zacny człowieku!

WIKTOR.

Otóż to rząd moskiewski!.... barbarzyńcy!

FRANCISZEK.

No i cóż dalej?

IGNACY.

Co dalej? płakałem gorzko przez kilka dni, potem mnie wyprowadzono na plac, okuto, ogolono pół głowy i marsz na Sybir ze złodziejami. Ciężka była droga, wlekliśmy się pomału, aż w końcu z żalu tutaj na miejscu zachorowałem ciężko i o mało nie umarłem.

KOZAK (*świszcze, włożywszy dwa palce w usta*).

No pany, koniec obiadu, do roboty!

(*Wszyscy wstają i biorą łopaty i kilofy*).

KSIĄDZ JAN (*ocięra oczy i mówi do Ignacego*).

Bracie kochany! tyś nie pierwszy.... a dalby Bóg abyś był ostatnim tutaj zesłanym. Tyle lat, ba wieków nawet, bo od czasu zdobycia Syberyi ślala tu Moskwa naszych braci. Tu lez i krwi naszej morze wylano. Ginęli jedni, drudzy po latach wielu wracali do domu. Da Bóg i ty wrócisz, tylko bracie cierpliwości!... Dzisiaj kiedy pierwszy raz masz chwycić katorżny kilof w rękę, klękni i proś Boga o męstwo i opiekę.

IGNACY (*klęka i mówi*).

O Boże! dodaj mi siły, dodaj cierpliwości. O Matko, co w Jasnej jesteś Częstochowie, weź mnie i wszystkich co mi drodzy w opiekę.

KSIADZ JAN.

Niech cię Bóg błogosławi!

WSZYSCY.

Amen.

(Kozaki z niecierpliwością posuwają się ku nim. Ignacy wstaje, zaczyna wychodzić).

WIKTOR *(idzie z innymi i deklamuje: *)*

Nasz Odkupiciel dzieckiem w Nazarecie
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił.

O Matko Polko! jabym twoje dziecko

Przyszłemi jego zabawkami bawił.

Wcześniej mu ręce okręcał łańcuchem,

Do taczkowego każ zaprzęgać woza;

By przed katowskim nie zbladnął obuchem,

Ani się spłonił na widok powroza.

(Zastona spada).

KONIEC OBRAZU PIERWSZEGO.

*) Do Matki Polki. Ad. Mickiewicza.

ODSŁONA II.

Rzecz dzieje się w katordze na Syberii w kilka lat od pierwszej odsłony.

Scena przedstawia skały i las, dalej widać niebotyczne góry u stóp pokryte lasem a na szczytach śniegiem.

SCENA I.

KOZAK BURYAT i NATALIA.

(Kozak i Natalia rozmawiają pocichu w głębi sceny, Natalia daje mu pieniądze z sakiewką, które on chowa z chciwością, posuwają się naprzód, ona go prosi ze złożonymi rękami).

KOZAK.

Da, da, haraszo, haraszo,... ty mówisz, żeś ty jego żona, że go chcesz widzieć.

NATALIA.

Tak, on mój mąż, ja z bardzo daleka tu przyszedłam.

KOZAK.

Dobrze, dobrze, lecz gdzie go szukać, bo to u nas są dwa oddziały osobno pracujące. W jednym są ci co to zabijali, kradli, i tym podobne popełniali zbrodnie, w drugim zaś, są ci... ale jak ci to powiedzieć? to są lachy, pany,... ludzie uczciwi, grzeczni nawet dla nas co ich pilnujemy,... oni to jedno zawinili, że się przeciw

carowi buntowali. Więc gdzie twego męża szukać, nie wiem. Powiedz mi co on zrobił? czy kogo zabił? czy okradł kasę rządową? czy co innego zrobił?

NATALIA (*przestraszona*).

On zabił? co ty mówisz? O Boże! jak nawet mogłeś to pomyśleć?

KOZAK.

No, no, nie gniewaj się krasawico, ja tego nie mówię, tylko się pytam.

NATALIA.

Jego car porwał z domu od matki, okuł w kajdany i tu przysłał za to, że nie chciał przyjąć carskiej wiary.

KOZAK.

A, nie wiedziałem o tem, — to on będzie pomiędzy lachami. Pójdę, zaraz go poszukam. Biedni wy ludzie! No i my biedni! Ja to rozumiem. I nas okuto, kazano ich pilnować. Nieraz patrząc na tych lachów, to sobie myślę, jakby to można nasze naczalstwo tak okuć, a ich zrobić naczalstwom. No pójdę, pójdę, ale masz napowrót swoje pieniądze, — ja ich nie chcę, boście wy bardzo nieszczęśliwi. (*Podaje jej sakiewkę*).

NATALIA (*wzbrania się przyjąć sakiewkę*).

Com wam mój kozaczku raz dała, tego nie wezmę napowrót.

KOZAK (*trzyma sakiewkę*).

Eh! ty pani, dobra, biery, a wiedz, że choć ja

buryat, kozak w carskiej służbie, no ja mam serce, które szanuje tych co są nieszczęśliwi.

NATALIA.

Co wam ofiarowałam, to weźcie, tylko mi męża pokażcie.

KOZAK.

Nie chcę twoich pieniędzy, bierz je, — jak nie weźmiesz, męża ci nie pokażę. Albo ja to ruskij czelawiek?

NATALIA (*biorąc pieniądze, na stronie*).

Ktoby się spodziewał w tym dzikim prawie człowieku tyle szlachetności.

KOZAK (*idzie i wraca się*).

Wiem już gdzie go szukać, ale powiedz mi jak on wygląda?

NATALIA.

Jak wygląda? O taki ładny, taki dobry, że od razu go poznasz.

KOZAK (*uśmiecha się*).

O, to i u nas każda żona mówi, że jej mąż i dobry i ładny. I moja mówi, że ja i najlepszy i najładniejszy, chociaż jak spojrzę w wodę i tam się zobaczę, to nie bardzom rad długo się sobie przyglądać. Więc widzisz duszko, że tak jak ty mówisz, to go nie poznam. Zresztą wszystkie te pany lachy to takie dobre i pocziwe. Powiedz mi jak on się nazywa.

NATALIA.

Ignacy, Ignacy.

KOZAK.

Wiem, wiem, zaraz tu będzie. Schowaj się tu za drzewem. (*Wskazuje jej najbliższe drzewo*). Ty tam pójść nie możesz, bo tam dzisiaj jest pisarz, moskal, lecz czekaj tutaj, Ignacy tędy z drugim wożą rude, to go zobaczysz; tylko długo nie mówcie; zresztą ja wam dam znak, ot zagwizdam, to się rozejdziecie i niech cię nikt nie zobaczy. (*Odchodzi*).

SCENA II.

NATALIA

Nareszcie po tak długiej rozłące znowu go zobaczę. Tak bardzo pragnęłam tej chwili, marzyłam o niej, modliłam się o nią, a kiedy nadeszła, to drzę cała od wzruszenia, nie wiem co się ze mną dzieje, serce mi umiera, w oczach się mieni. (*Idzie za drzewo i klęka*). Boże! jakież Ci dzięki złożę za Twą nademną opiekę! (*Słychać kroki, brzęk ławicucha i turkot. Natalia klęczy opartą rękę na skale, a głowę na rękach*).

SCENA III.

NATALIA i IGNACY.

(*Ignacy wiezie taczki, stawia je na ziemi, aby coś poprawić i spostrzega Natalię. Przestraszony patrzy na nią, ona go nie widzi, on przeciera oczy i mówi*).

IGNACY.

O! co za okropne widzenie! To ona umarła i tu

mi się pokazuje. Cóż ja teraz nieszczęśliwy człowiek pocznę? Wszystkie nieszczęścia na mnie spadły a to największe. Niema już dla mnie nadziei, wszystko skończone. (*Milczy i przeciera oczy*). Jakże długo klęczy i nie znika. O! niech nie znika, niech jej się napatrzę do woli... Podejdę bliżej, popatrzę na nią. Jej duch kiedy mi się pokazał, nie może mi nic złego zrobić. O! nie, przecież to moja najdroższa żona. (*Posuwa się ku niej. Natalia ogląda się, wstaje, jednak z wielkiego wzruszenia nie może się ani na krok poruszyć, ani odezwać, tylko położywszy rękę na sercu, stoi ze spuszczonei oczami*).

IGNACY (*składając ręce klęka*).

Duchu! ktokolwiek jesteś,... męczennico święta,... ty, co byłaś żoną moją na tej ziemi....

NATALIA.

Ignacy!... jam nie umarła, ja żyję....

IGNACY.

Żyjesz? (*wstaje*). O Boże! Czy to prawda? (*podchodzi ku niej, wyciąga do niej ręce, Natalia pada mu w ramiona*). O! tak, to nie zjawisko, to prawda, to rzeczywistość, ty żyjesz. Lecz siadaj, tyś osłabiona, ledwie dyszysz. (*Pomaga jej usiąść na skale*). Poczekaj ja ci wody przyniosę. (*Biegnie po wodę i przynosi ją w blaszance, klęka przy niej, daje jej pić, wodę stawia na ziemi, a sam bierze ją za ręce i całuje. Natalia całuje go w czoło*).

NATALIA (*posuwając się na skale*).

Siadaj tutaj obok mnie. (*Ignacy siada zwrócony ku niej*).

IGNACY (*trzyma Natalię za rękę*).

Ileż jam w tej chwili wycierpiał! Od najstraszliwszej boleści, do najwyższej przeszedłem radości, ale dzięki Bogu, że żyjesz. Powiedz, zkąd się tu wzięłaś? O jakaś ty zmieniona, wynędzniała! Ktoby się mógł spodziewać, że nasze szczęście tak się marnie zakończy. Nieraz myśląc o tem gdzie cię popędzono, i co się z tobą stało, żalowałem że mi się skłonił twoim rodzicom i że mi cię dali na to tylko, abyś tyle goryczy wypila. To, że ja cierpię dla ciebie, to mi nie przykre, lecz myśl, że ty cierpisz, jakże to jest bolesnem.

NATALIA.

Cierpimy dla prawdy; cierpimy, bo nam sumienie nie pozwala szczęścia naszego na kłamstwie i niekezumnosci budować, i o tem nie mówmy, lecz o sobie. Jakież ty mizerny, ileż ty musiałeś wycierpieć od tej chwili gdy kilka lat temu rozstaliśmy się w tak okropny sposób w cytadeli?

IGNACY.

Com ja wycierpiał, to nie, — lecz ty moja najdroższa powiedz zkąd się tu wzięłaś?

NATALIA.

Gdy nas w tak okrutny sposób rozdzielono w Warszawie, w trzy tygodnie wysłano mnie etapem na Sybir. Tyle tylko i to wypadkiem dowiedziałam się, że ciebie w kilka dni po naszym rozłączeniu wysłano w tę stronę. Tak więc szłam za tobą w innej gromadzie zbrodniarzy, bo tam nikogo uczciwego nie było. Com ja w ciągu całej drogi wycierpiała, to Bogu jednemu

wiadomo. Cała ta gromada więźniów i stróżów to nie ludzie, a istoty gorsze od zwierząt. Tak przysłano mnie do Tobolska gdzie mi przeczytano wyrok, że mam nie daleko stąd mieszkać pod dozorem policyi. Pracuję ciężko, aby żyć. Lecz wszystko to było nieczem w porównaniu, że się o tobie nie mogłam dowiedzieć. Nareszcie dowiedziałam się i zwyciężywszy tysiączne trudności przybyłam, aby cię zobaczyć.

IGNACY.

Jakiż ja jestem szczęśliwy, że cię mogę zobaczyć. Lecz o mój Boże, czemuż nie mogę na zawsze z tobą pozostać? Czemuż gdy tyłu na świecie szczęśliwych, my tak okrutnie cierpieć musimy? O nie napróżność ty śpiewała tę straszną piosenkę. Nie napróżno ja do niej miałem taki wstręt! Ziściły się moje przeczucia i z naszych marzeń zostały cierpienia i łzy, a nadziei żadnej; bo jaka nadzieja dla tego, kto się dostał w ten wir piekielny moskiewskiej niewoli? O lepiej było być w jasyrze Turka i jeńcem Tatara, bo tam można się było okupić, aniżeli tutaj. Żadnej nadziei!... Lepiej nie żyć, aniżeli tak okrutnie cierpieć!...

NATALIA.

O mój drogi Ignasiu! bądź dobrej myśli, miej ufność w Bogu i nadzieję lepszej przyszłości. I ja cierpię i równie boleję nad naszym rozbitem szczęściem, a jednak nie tracę nadziei. Gdy do ciebie szła tutaj, zboczyłam do Irkucka gdzie jest nasz kościół katolicki. Ty nie pojmiesz ile to szczęścia jam doznała, gdy na tej ziemi leż i niedoli po latach ujrzała nasz kościół! Ilem zaznała radości, gdy wszedłszy, w modlitwie wyłala przed Bogiem swe żale, skargi i potrzeby. Modli-

łam się też gorąco za rodziców, za twą matkę, za ciebie, za nas, za nasze szczęście; i na tej modlitwie zdało mi się, że się zdrzymnęła, a Najświętsza Panna do mnie mówi: „Wróćcie do swoich, wróćcie, i będziecie szczęśliwi.“ Zerwałam się z tego snu, lecz już nie było; w kościele tylko dziadek stary siedział przy drzwiach i lampa się paliła na środku, ... a ja wstałam z modlitwy uspokojona, szczęśliwa i pełna ufności, że dobrze będzie.

(Słychać brzęk łańcucha i turkot taczek, Natalia i Ignacy oglądają się, Maksym wiezie taczki z rudą, zobaczywszy taczki Ignacego stojące na ziemi, stawia swoje obok i siada na nich. Zaczyna kaszlać, widać na nim okropne zmęczenie, upadek sił, stan suchotniczy, oddech ma ciężki; nie spostrzega Ignacego i Natalii siedzących trochę w głębi).

NATALIA *(do Ignacego)*.

Kto to? zdaje mi się że go gdzieś widziałam.

IGNACY.

To Maksym.

NATALIA.

Maksym! to Maksym!... ah! jakże zmieniony. Mój Boże! co się z niego zrobiło! A za coż jego zesłano, kiedy on i prawosławie przyjął i nas zdradził? żeby on mnie tutaj nie zobaczył.

IGNACY.

Nie lękaj się moja droga, już on nie ten co był we wsi. On dziś złamany, w suchotach, nie zadługo może umrze. Jego tu zesłano, bo odwołał podpiskę na prawosławie daną. On moim najlepszym przyjacielem. *(Natalia patrzy na Maksyma, podpartszy głowę na rękę).*

SCENA IV.

CIŻSAMI i MAKSYM.

MAKSYM.

Co to znaczy, że on tak dawno pojechał, taczki tu stoją a jego niema? *(Kasze...)* Jakże ja jestem dzisiaj osłabiony! *(Ociera pot z czoła)*. O czuję, że już nie zadługo trzeba będzie opuścić ten świat. *(Kasze)*. Zawołam na Ignacego, on tu gdzieś być musi... *(wola)*. Ignacy! Ignacy! *(Ignacy wstaje i idzie do niego)*.

IGNACY.

Co tobie bracie? czy ci gorzej?

MAKSYM.

Wody, choć troszeczkę.

IGNACY.

Zaraz ci przyniosę.

(Biegnie po kubek stojący na ziemi, i wywraca go, woda się wylewa, podnosi go i biegnie po wodę).

MAKSYM.

Dobrze mój bracie! *(kasze)*, jakże duszne powietrze!... jak się ciemno robi!

(Omdlewa i zsuwa się z taczek, Natalia wychodzi, patrzy na niego, zdejmując z siebie kapotę, składa ją w kształcie poduszki, kładzie na ziemi, opierając o skałę i z trudem kładzie Maksyma na niej, klęka przy nim i ociera mu pot z czoła. Maksym otwiera oczy, patrzy na nią długo, przeciera oczy i mówi).

Zawsze ona!

NATALIA.

Maksymie! jakże się masz? czy ci lepiej?

MAKSYM (*przeciera oczy*).

O Boże! co ja widzę? ciebie Natalio, w tej chwili? Mnie się zdawało, że ja śnię, a to nie sen. Co ty tutaj robisz?

NATALIA (*wstaje*).

Nie mów Maksymie, boś osłabiony,... ja tu przyszedłam, aby Ignacego odwiedzić ..

MAKSYM (*wzdycha*).

Chwała Bogu, że cię mogę przed śmiercią zobaczyć,... bo już tam do swoich nie wrócę,... śmierć się zbliża,... zawsze Boga prosiłem, abym cię mógł w tem życiu raz jeden zobaczyć,... nie po to, aby ci mówić o mojej ku tobie miłości,... o nie,.. na coby się to już przydało?... ja pragnąłem się widzieć, aby cię przeprosić za tę nieczemność, jaką względem ciebie i Ignacego popełniłem... ah! słabo mi!... (*omdlewa, Natalia nachyla się i obciera mu czoło, Maksym wraca do przytomności*). Ignacy, czy jeszcze nie wrócił? (*Słychać brzęk łańcuchów, wchodzi Ignacy z wodą a za nim ksiądz Jan*).

SCENA V.

CIŻSAMI, IGNACY I KSIĄDZ JAN.

IGNACY.

Oto tutaj ojciec! (*do Maksyma*). Widząc żeś tak słaby dałem znak księdzu Janowi, aby cię zobaczył.

(*Natalia bierze kubek z wodą, kłeka i daje pić Maksymowi, Ignacy do księdza Jana*). Oto moja żona o której ojeu wspomniałem. (*Natalia wstaje, ksiądz Jan bierze ją i Ignacego za ręce i mówi*).

KSIĄDZ JAN.

Niech was Bóg moje dzieci błogosławi. (*Zwraca się do Maksyma*). Maksymie kochany, co się z tobą dzieje? przyszedłem, aby cię odwiedzić.

MAKSYM.

Czuje, że mi źle bardzo,... widać ostatnia wybiła godzina (*kasze*). Zanim pójdę, chcę po raz ostatni uczynić spowiedź przed tobą mój ojciec...

KSIĄDZ JAN.

Bracie drogi, miej ufność w Bogu...

MAKSYM.

Dwa grzechy miałem... (*Ignacy i Natalia usuwają się na bok, Natalia płacze, Ignacy stoi z załamanymi rękami, patrzy w ziemię, a od czasu do czasu rzuca wzrok to na Maksyma, to na Natalię*)... ciężkie straszne,... jeden, iż dałem podpis na prawosławie, a przez to zgorszyłem wielu, okryłem naszą wioskę sromotą i ojciec mój z żalu umarł... (*kasze*), drugi grzech, że ją (*szuka Natalii oczami*) zanałdo kochałem, i gdy mnie nie chciała postanowiłem ją i jej męża zdradzić przed Moskalami.. Jednak za obydwa te grzechy, poniósłem karę straszną,.. gardzili mną wszyscy, ale najwięcej ja sobą pogardzałem... (*kasze*), odwołałem podpis na prawosławie i za to noszę te łańcuchy.... Ta miłość ku niej, co przedtem poila mnie taką słodyczą, zatrula mi życie, była to kara

za zdradę... byłem jak opętany... o niej marzyłem we dnie i w nocy... na jawie i we śnie... ciągle ją miałem na oczach, ją tylko jedną... taka miłość to już kara... straszne udrczenie...

KSIĄDZ JAN.

Mój bracie, miej ufność w Bogu, pokuta gładzi największe grzechy... i dlatego w imieniu Boga ja cię rozgrzeszam.

MAKSYM.

Teraz mój ojeze, chcę wobec ciebie z nimi pomówić... (*kasze, ksiądz Jan daje znak Ignacemu i Natalii, oni podchodzą do Maksyma*). Przepraszam was za wszystko złe... chciałem je naprawić pokutą, i dlatego odwołałem ów nieczemny podpis. Nie ja was zdradziłem, choć chciałem i po to za wami na granicę poszedłem. Zdradził was kto inny, zdradził was żyd, a ja przyszedłem wówczas gdy już was chwyciono... przebaczenie nieszczęśliwemu! (*kasze*). Czuje, że życie moje gaśnie... nie ujrzę już matki mojej, ani braci... ani naszej wioski, ani kościoła naszego, ani mogiły ojca mojego... ah! gdyby ich można było pożegnać, rozstanie z tem życiem ziemskim byłoby lżejszem (*kasze*), ale cóż robić? Wola Niebios taka, abym zdaleka od swoich, w tej ziemi niewoli złożył moje kości... niech więc tak będzie. Gdy wrócicie do nas, do naszej wioski, powiedzcie wszystkim, że ja Maksym umarłem w pokucie... i że wam obojgu umierając błogosławił (*kasze*). Bądźcie szczęśliwi! (*omdlewa*).

KSIĄDZ JAN.

Kłękniemy i módlmy się za niego (*kłękają*).

MAKSYM (*przychodzi do przytomności*).

Tak, bądźcie szczęśliwi!... i wracajcie do swoich... do naszej polskiej ziemi, w której wolno wierzyć po katolicku i mówić po polsku...

(*Ogólne milczenie, Maksym traci przytomność i umiera*).

KSIĄDZ JAN (*Nachyla się nad nim, czyni znak krzyża nad jego głową*).

Już umarł! Niech go Bóg przyjmie do swej chwały!

IGNACY i NATALIA (*razem*).

Amen.

Zastona spada.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

POWRÓT.

Rzecz dzieje się na Podlasiu.

Scena przedstawia izbę wiejską. Jadwiga siedzi oparłszy głowę na rękę, w drugiej trzyma chustkę i od czasu do czasu ociera oczy. Makryna chodzi po izbie.

SCENA I.

JADWIGA i MAKRYNA.

MAKRYNA (*stając naprzeciw Jadwigi*).

Kumeczko kochana! przestańcie rozpaczać; prawda, żeście stracili męża i córkę, no ale i ja też straciłam syna jedynaka, moją całą nadzieję na stare lata, a z nim straciłam wesele i radość, a jednak nie rozpaczam.

JADWIGA.

O nie rozpaczam i ja, nie rozpaczam; ale serce boli, bo jak niema boleć, gdy wspomnę, że mój mąż tam het daleko u Moskali, a jeszcze więcej, że moje słoneczko, moją dziecinę jedyną porwali i tam w ten jasyr moskiewski zapędzili..... Ilużto naszych tam za-

pędzono, a kto ztamtąd wrócił? Panowie, choć to panowie, mogą się moskalowi pieniędzmi opłacić, lub jakoś tam sobie poradzić, a czy to wielu z nich wróciło? Cóż dopiero biedny człowiek co niema pieniędzy tyle, ani tego rozumu. Lecz powiedzcie sami luba Makryno, dla czego wy łzy lejecie? Czy to wy myślicie, że ja o tem nie wiem? Wy tylko gdy do mnie idziecie to ocieracie twarz i chowacie swą boleść, aby mnie do reszty nie zabić. O widzę ja to, widzę.

MAKRYNA.

No,.... widzicie. ... inna rzecz jest płakać, a inna rozpaczać. Prawda, że od chwili gdym syna w tem miejscu błogosławiła, gdy z waszą córką wychodzili na ślub do Krakowa, uśmiech nie zawitał na mych ustach, ani serce radośniej zabiło, i to prawda, że czasami popłaczę, lecz nie rozpaczam, — nadzieja mnie krzepi, że Bóg się zmiłuje nad nami, — i was też droga kumo proszę, miejcie choć trochę nadziei.

JADWIGA.

O tak, nadziei,.... nadziei, ... choć trochę nadziei, jakby to dobrze było! Gdy rano wstaję po bezsennej nocy, łzy leję, bo niema mej złotej dzieciny, coby mnie na dzień dobry powitała, niema komu śniadania przygotować.... Cały dzień wlecze się ciężko, pomalutku.... Nikt nie przerwie tej okropnej ciszy, nikt się nie odezwie. Przyjdzie wieczór, znowu sama, samotnka, a moich niema. Dawniej bywało to, moja dziecina kręci się jak fruczka po domu, robota tylko jej się pali w rękach, a wesołe to a oboche, piosnka z ust nie schodzi.... dzisiaj, dzisiaj, mocny Boże! Ni to amarla, ni żyje.... Szczęśliwe te matki co im po-

marły córki, bo chociaż mogą iść na ich grób, tam się wypłakać i za ich duszę pomodlić. Ja i tej ulgi mieć nie mogę, owszem ciągle tęsknota z obawą co się też z nią dzieje?.... A teraz mój mąż co tam robi?.... No co robi mój zięć a wasz syn?.... Wyście stracili jedną osobę, ja ich dwie straciłam.

MAKRYNA.

Nie mówcie tak droga kumo, bo ja równie cenię waszego męża i równie jak wy Kocham waszą córkę a moją drogą synowę; i ja ich troje oplakuję.

(Słychać kroki, otwierają się drzwi, wchodzi Stanisław i Zofia jego żona w krakowskich ubraniach)

SCENA II.

TEŻSAME, STANISŁAW i ZOFIA.

STANISŁAW.

Pochwalony Jezus Chrystus!

JADWIGA i MAKRYNA *(zaciekawione)*.

Na wieki.

STANISŁAW.

Czy tutaj mieszkają Dębezukowie?

JADWIGA.

A tak, tutaj, to ja jestem żona Dębezuka, a co to?

STANISŁAW.

Nie znacie mnie, boście mnie nigdy nie widzieli, lecz jak wam powiem z kąd i kto jestem, to mnie i mojej żonie będziecie może radzi.

JADWIGA.

A kiedy tak, to najprzód prosimy siadać, — a i waszą żonę prosimy się rozgościć.

(Wszyscy siadają).

STANISŁAW.

Wyście mieli córkę Natalię, co wyszła za mąż za Ignacego?

JADWIGA *(zaciekawiona)*.

A tak, albo co?

MAKRYNA *(zaciekawiona)*.

Może wy ztamtąd od moskali?

STANISŁAW.

O nie, Bóg strzegł, jam nie ztamtąd, — jeno widziecie ja znam waszą córkę i zięcia. Będzie temu lat kilka przybyli oni do Krakowa na ślub, bo im tu jak wiecie z powodu prześladowania ślubu dać nie chciano. Otóż tak się zdarzyło, że wesele choć skromne, ale jak można było na dorwanego, u mnie się odbyło.

JADWIGA i MAKRYNA *(zrywają się)*.

Wy to jesteście? O znamy was, znamy.

(Witają się, a następnie siadają).

JADWIGA.

Tak, znamy was Stanisławie, — mówiła mi moja córka, kiedy ją widziałam po tem weselu w cytadeli w Warszawie *(ocięra oczy)*.

STANISŁAW i ZOFIA.

Moemy Boże! cóż się z nimi stało?

JADWIGA.

Co się stało? Męża mojego popędzili do Chersonu, tam nad morze Czarne, zięcia na Syberyę do ciężkich robót, co to się nazywają katorgą; zaś córkę moją także na Sybir pognali, tylko nie siedzi w więzieniu, a tak ją tam gdzieś trzymają.

STANISŁAW.

Jakże was żałuję! Niceśmy o tem nie wiedzieli. Ignacy i wasza córka powracając tu do was po ślubie, dali nam adres jak do nich pocztą pisać; pisaliśmy dwa razy, lecz nie mając odpowiedzi nie pisaliśmy więcej, tem bardziej, że moja kobieta, codziennie mi mówiła, iż straszne sny o nich miewała.

ZOFIA (*ocierając sobie oczy*).

Jużto moje sny to mi się zawsze spełniają. A choć mój często się gniewał o nie, to jednak widzicie i tą razą na nieszczęście spełniło się wszystko.

JADWIGA.

Otóż mili Stanisławie i Stanisławowa, moja córka i zięć, choć to w cytadeli, nie mogli się naopowiadać o ślubie i waszem dobrem sercu, dla tego przyjmijcie najserdeczniejsze podziękowanie za wasze dobre serce. Niech wam to Bóg wynagrodzi. (*Podaje Stanisławowi rękę, Zofię całuje, to samo robi Makryna*). Lecz prosimy rozgościć się, boć przecie dzisiaj nie pójdziecie w drogę. (*Pomaga Zofii zdjąć sukmanę. Stanisław stawia łaskę w kącie, a czapkę kładzie na oknie*).

MAKRYNA.

Darujcie ciekawości kobiecej, lecz pozwólcie się

zapytać, zkądżeście się wy tu u nas wzięli, kiedy tu od nas to i ptactwo się wyniosło? Czasem ptak jakiś obcy, gdy mu przyjdzie przez nasz kraj wracać w swoje strony, to wysoko w powietrzu przelatuje, — a i zwierz dziki się nie pojawi, bo jakby czuły, że tu kraina lez i strasznej niewoli.

STANISŁAW.

Obydwie córki wydałem za mąż, syna ożeniłem i zdałem mu gospodarstwo, powiadam do mojej, pracowaliśmy dosyć na świecie, niechże nasze dzieci same pokażą co potrafią. Nieraz słyszało się i czytało o naszych świętych miejscach na polskiej ziemi, postanowiliśmy tedy z żoną odwiedzić niektóre. Właśnie wracamy z Ostrej Bramy do domu, a przypomniawszy sobie wasze dzieci, które od pierwszej chwili pokochaliśmy jakby nasze, skreśliśmy z drogi aby ich odwiedzić i rodziców poznać, aż tu niestety trafiamy na takie nieszczęście.

JADWIGA.

Oj nieszczęście, nieszczęście! W naszej wsi to tylko stare dziady, kaleki, dzieci i kobiety zostały, a i te nie wszystkie, — a resztę pognano w kajdanach daleko jak zbrodniarzy jakich. Bóg jeden wie, czy ich kiedy zobaczymy? (*Wszystkie kobiety ocierają sobie oczy*).

STANISŁAW.

Miejcie w Bogu nadzieję, że będzie dobrze. Bóg wejrzy na te łzy wylane i udręczenia nasze. Nawet na pociechę powiem wam, że kilka lat temu była w Rzymie wielka uroczystość, to jest na pięćdziesięcioletni jubileusz biskupi Ojca świętego z Polski od nas wybrało się nietylko panów i księży wielu, ale i nas wieśni-

ków gromada niemała, byłem i ja z nimi, a było tam i unitów kilku z Chełma i Podlasia, tylko nie mi o was nie mogli powiedzieć. Otóż jednego dnia zebrało nas się więcej jak sześćset osób w jednej sali. Wniesiono papieża, bo był staruszek na nogi słaby; długo on na nas patrzył milczący i smutny, a potem rzekł, że nam Polakom potrzeba cierpliwości, wytrwałości i odwagi; a w końcu dodał, że „*modlitwa i łzy prześladowanych i uciśnionych spadną jak węgle rozpalone na głowy tyranów i prześladowców, którzy wcześniej czy później poczują ciążącą na sobie rękę sprawiedliwości Bożej.*“ Tak mówił papież, a inną razą rzekł, że: „*ręka sprawiedliwości Boskiej zawisnie nad Rosyą.*“ Miejmy więc ufność, że będzie dobrze i wasi wróca.

JADWIGA i MAKRYNA (razem)

Dałby Bóg!

(Otwierają się drzwi, wchodzi Grzegorz).

SCENA III.

CIŹSAMI I GRZEGÓRZ.

Jadwiga i Makryna na widok Grzegorza zrywają się (przelekłe).

JADWIGA i MAKRYNA (razem).

Wszelki duch Pana Boga chwali!

GRZEGÓRZ.

I ja go chwale.

JADWIGA.

A to wy Grzegorzu, naprawdę? A zkad wy tutaj?

MAKRYNA (jednocześnie).

A nasi Grzegorzu?

GRZEGÓRZ (podchodzi do Jadwigi i Makryny i podaje im rękę).

I wasi przyjdą, bądźcie cierpliwi! Idąc do domu do siebie, zobaczyłem u was w oknach światło, i wszedłem, aby was pocieszyć.

JADWIGA (do Stanisława).

O spełniają się wasze słowa Stanisławie! Nasi widać wróca. Lecz Grzegorzu, czy Jędrzej zdrów? kiedyście go widzieli?

GRZEGÓRZ.

Zdrów, zdrów, ujrzycie go nie zadługo, zaraz tu będzie.

JADWIGA.

Zaraz, o Boże! (chwytając się za serce), ah, tak mi serce ścisnęło, lecę.... gdzie jest? mówcie! (Słychać kroki, otwierają się drzwi, Jadwiga i Makryna poruszają się, wszyscy ciekawie w tę stronę patrzą, wchodzi Jędrzej).

SCENA IV.

CIŹSAMI I JĘDRZEJ.

(Na widok Jędrzeja, Jadwiga krzyknąwszy biegnie ku niemu, rzuca mu się do nóg, Jędrzej ją podnosi, stoją długo w niemym uścisku).

JĘDRZEJ.

O Boże! niech ci będzie wieczna cześć i chwala! Już nieraz myślałem, że tu w tym moim domu nigdy nie będę, — że ciebie moja droga żono nie zobaczę,

ale Bóg miłosierny pozwolił wrócić.... Zdaje mi się jednak, że to sen, bo nieraz tam daleko na wygnaniu, patrzyłem godzinami w nasze strony, a w nocy śniłem, że jestem wśród was, z wami mówię, z tobą, z naszą córką i zięciem, i cieszyłem się, ... a w tem budziłem się z tego złotego snu, i było strasznie ciężko na sercu. Ale teraz to przecież nie sen? to rzeczywistość! O bo strasznie byłoby przebudzenie! Wszak prawda moja żono, że to nie sen? O jeśli to sen złoty, to mnie nie budźcie! *(placze)*.

JADWIGA.

Jędrzeju! mężu najdroższy, uspokój się.

GRZEGÓRZ.

No, Jędrzeju, pojmuję waszą radość i szczęście, boć i ja tego doświadczam, jednak widzieć trzeba się uspokoić. Ale, ale, ja tu z wami mówię a do swoich nie idę. Bądźcie mi tu zdrowi tymczasem *(idzie ku drzwiom)*.

MAKRYNA.

O i ja idę, bo tam może Ignacy wrócił? *(idzie ku drzwiom)*.

(Grzegórz i Makryna podchodzą do drzwi w których spotykają się z Eliaszem i Filipem. Grzegórz się wraca, Makryna wychodzi).

SCENA V.

CIŻSAMI, OPRÓCZ MAKRYNY I ELIASZ ORAZ FILIP.

ELIASZ.

Wracamy do swoich, widzimy, że tutaj tak jasno i gwarno, dlatego wstępujemy do was, aby się przywitać a potem do swoich.

JADWIGA.

A witajcież Eliaszu! witajcie Filipie! Wracacie zdrowi, jakaż to radość. Lecz powiedzcie czyście nie widzieli mojej Natalki i Ignacego? Już tak dawno od nich nie było listu.

ELIASZ.

Bądźcie spokojni, jeśli tylko żyją, to i oni wrócą.

STANISŁAW *(do Jadwigi)*.

Bądźcie tak dobrzy i poznajomcie mnie i moją żonę z waszym mężem.

JADWIGA.

Wybaczenie, w tej radosnej chwili to i głowę straciłam. Jędrzeju! to są ci zaci ludzie z Krakowa, którzy naszym dzieciom wesele sprawili.

JĘDRZEJ.

Pamiętam, pamiętam, i witam was, jeśli się nie mylę Stanisławie, witam i was Stanisławowa. Chleb i sól i nasze serca dla was w tych ubogich ścianach. *(Podają sobie ręce, Grzegórz podchodzi i podaje im rękę)*.

GRZEGÓRZ.

Poczeiwych ludzi to radość poznać. *(Słychać za sceną hałas i te słowa: „A zaraz, coś chciałem powiedzieć! zaraz! tylko tutaj na chwileczkę, coś chciałem powiedzieć, wstąpię“ Wszyscy się oglądają, otwierają się drzwi, które przytrzymuje Figułka zmizerowany ale już nosa niema czerwonego, tylko zatabaczony, wpada Natalia i Ignacy)*.

SCENA VI.

CIŹSAMI, FIGUŁKA, NATALIA, I IGNACY.

FIGUŁKA.

Wracamy z wesela, coś chciałem powiedzieć.

JADWIGA (*zobaczynszy Natalię*).

Natalka! Natalka!.... dziecko moje najdroższe!
O Boże! ledwie żyję (*rzucają się sobie w ramiona*).

JĘDRZEJ.

Dzieci moje kochane! jak się macie?

FIGUŁKA.

Witam, coś chciałem powiedzieć, szanowną kompanię. Ktoby się był spodziewał, że nam te szelmy (*ogląda się*) moskale takie sprawią wesele, ale coś chciałem powiedzieć, wróciliśmy. (*Zaczynają sobie podawać ręce*).

SCENA VII.

CIŹSAMI I MAKRYNA.

MAKRYNA (*wpadając, szuka oczami*).

Ignacy! Ignacy! jest tu Ignacy? (*spostrzega go i biegnie ku niemu*). A jak się masz synu? (*chwytą go w swoje ramiona*). Jakiż on mizerny, gdyby nie tensam.

FIGUŁKA.

Ale tensam pani Makryno, tensam, tylko, coś chciałem powiedzieć, buty nie tesame.

MAKRYNA.

O lepszy taki, jak żaden. Możeś ty głodny? zmęczony? (*całuje go*). To ty zamiast biegnąć w dyrdy do starej matki, co oczy wyplakała i wypatrzyła, patrząc w tę stronę gdzie cię pognano, to on już u żony. O nie dobry synu.

FIGUŁKA.

A panie święty, coś chciałem powiedzieć, pani Makryna uczy herezyi, bo w piśmie świętem stoi, coś chciałem powiedzieć, opuści człowiek ojca i matkę i przyłączy się do żony swojej.

MAKRYNA.

Panie Fugułko, ja nie wiem co w piśmie świętem stoi, tylko wiem, że on moje dziecko.

IGNACY.

Matuniu nie gniewajcie się, ja was bardzo kocham i radbym był w mig u was stanąć i nogi wam ucałować, ale idąc z żoną, musiałem ją tutaj do jej rodziców przyprowadzić, i zaraz miałem do was biegnąć, a wyście przyszli (*całuje ją w rękę*).

STANISŁAW (*stał z żoną z boku i Ignacy go nie widział, zbliża się do niego*).

Ignacy kochany, my się pono znamy?

IGNACY (*żegna się krzyżem św.*).

Stanisławie! to wy? A cóż to za szczęście wielkie w jednym dniu. Wy tutaj? (*Spostrzega i Zofię*). A i wasza tutaj? (*podchodzi do Zofii, całuje ją w rękę, potem*

wraca do Stanisława i podaje mu rękę). Po moich i mojej żony rodzicach, wy najpierwsze miejsce w mem sercu zajmujecie. O boście warci tego. Pamiętam, jak nas tam u siebie przyjęliście, i często za was Boga proszę.

NATALIA (*biegnie do Zofii, całuje ją w rękę, potem wita się z Stanisławem przez podanie ręki*).

Ah! to wy Stanisławowa!

(*W czasie tego wszyscy rozmawiają pocichu, Figulka od radości podryga, i z tabakierą chodzi i częstuje*).

JADWIGA.

Siadajcież drodzy goście, bo ja tylko dzisiaj jedna nie jestem tutaj gościem. (*Siadają*). Cóż się przecie stało, że was puścili?

JĘDRZEJ.

Co się stało? o, dużoby o tem było mówić. Car widzi, że narodu nie złamie, że wiara silna; a tu nihilści kopią i kopią, — dalej nasi panowie w Wiedniu u Cesarza Austriackiego, co jest pan dobry i katolik dobry, jak zaczęli przedstawiać i prosić, — a do Ojca św. to samo, — to jak się Cesarz Austriacki wziął z Ojcem świętym i z Królową Angielską, to i wymogli na Carze, że rad nie rad nas uwolnił i dał swobodę, aby każdy tak wierzył, jak mu sumienie nakazuje i takim językiem mówił, jak mu się podoba. Otóż widzicie i myśmy dlatego wrócili *).

KOBIETY WSZYSTKIE.

Chwała Bogu i Najświętszej Pannie.

FIGUŁKA (*podaje Jadwidze tabakierę*).

Pani Makryna, coś chciałem powiedzieć, mówiła,

że Ignacy i mizerny i głodny, a nam nie nie mówi cośmy naprawdę mizerni, i głodni, i coś chciałem powiedzieć, spragnieni.

JADWIGA (*otwiera szafkę, wydostaje kieliszki i nalewa i podaje Stanisławowi, Zofii, Figulce i innym, w czasie nalewania rozmawiają*).

Musimy wypić za zdrowie gości z Krakowa i za zdrowie naszych z niewoli wróconych.

FIGUŁKA.

A co to za trunek pani Jędrzejowa? bo jeśli to coś co traci, okowita, to ja coś chciałem powiedzieć, nie piję.

JADWIGA.

Jakto, pan kościelny nie pije wódki? przecież to lekarstwo.

FIGUŁKA.

Wódki i wszelkich, coś chciałem powiedzieć jej krewnych nie piję; — przekonałem się na tej Syberyi, że to, krótko mówiąc paskustwo, moskiewski trunek; wyrzekłem się i nie piję, i coś chciałem powiedzieć zdrów jestem.

MAKRYNA.

A czemu się pan kościelny leczy na żółć?

FIGUŁKA.

W chorobie piję rumianek, gorzkie ziółka, zresztą na Syberyi coś chciałem powiedzieć. żółć mnie opuściła.

*) Czy w ten, czy w inny sposób, prawda zawsze zwycięży.

A jak jestem zdrów, w kompanii, to piję herbatkę czystą, no i miodkiem nie pogardzę, coś chciałem powiedzieć.

MAKRYNA.

Jak się też to ludzie zmieniają.

JADWIGA.

To nie jest wódka panie kościelny, my wódki nie pijamy, to mioddek.

FIGUŁKA.

Bardzo dobrze, dawnom miodku nie pił, jak w Krakowie. Mioddek, to polski trunek. Pijemy za zdrowie gości z Krakowa, coś chciałem powiedzieć, i za nasze zdrowie cośmy z niewoli wrócili, — ale i za pomyślność coś chciałem powiedzieć państwu młodych, bo nam te szelmy moskale pomięszali weselisko.... *(otwierają się drzwi, wchodzi Nikołaj Mordow podпиты, obtargany, Figulka niekontent, zobaczysz go mówi)*. Masz tobie, a czy skaranie pańskie.... coś chciałem powiedzieć.

MORDOW *(zdejmuje czapkę, żegna się do kąta, kłania się wszystkim zataczając się)*.

Izwinicie! przyszedłem powinszować powrotu.... e! pany, lachy, mudryj naród, zawsze wyjdą na wierzch.... no ja wasz druch!.... chociem się tego nie spodziewał.

KILKA GŁOSÓW.

Kto to? Co to za jeden?

JADWIGA *(półgłosem)*.

To jakiś moskal, był podobno urzędnikiem, wygnali go za coś tam, i tak to łązi po wsiach i pije.

FIGUŁKA.

Mnie się zdaje, że ja was znam. Wy byliście, coś chciałem powiedzieć, czynownikiem przy naczelniku w Olkuszu?

MORDOW.

Da, da, był,.... no dola nie posłużyła,.... pragnali!.... Czort ich bieri i cara i całe prawitielstwo!.... Za polityku pragnali....

FIGUŁKA.

E! coś chciałem powiedzieć, każdy czynownik jak okradnie kasę rządową lub ukradnie konia rządowego, a to się wyda, to mówi, że on za politykę prześladowany.

MORDOW.

Jej bohu za polityku: Dopóki był naczelnikiem Orest Mamontow, no brali wziatki, bo to ruskaja dola. Wy wiecie, że koza ogryza drzewo, kozę łupi ze skóry pastuch, pastucha drze isprawnik, isprawnika gubernator, gubernatora drze minister, ministra drze car, no a cara drze sam czort. Dopóki był Mamontow, długo szło wszystko z rozumem, i diengi były, i czyn był i krest był i nie się nie wydało. No jak on przegrał żonę w karty i sfalszował pewien gruby dokument pieniężny, tak go wzięli do tiumy, i przyszedł na jego miejsce padlec Sołowjew, sukin syn, tak on zaczął ruszczyć polaków po swojemu i obdzierać bez rozumu, a nie chciał się opłacać gubernatorowi i nas pragnali. No ja wasz druch, jej bohu, — pazwoltie kubek wódki.

FIGUŁKA.

Panie pisarzu, a pamiętacie wy, jakieście to raz ukradli wódkę z koszyka tym uniom co to ich złapano na granicy?

MORDOW.

Ej pomniu, pomniu, — no ja nie ukradłem, tylko wziąłem. To nie grzech, to już taki ruskij zakon, bierz co się da wziąć, byle nie chwycili. To taka nasza dola, jej bohu!

GRZEGÓRZ (do Jędrzeja).

Pozwólcie Jędrzeju niech ten moskal ztąd idzie (*wstaje i mówi do Mordowa*). No panie czynownik, rosyjskie czasy minęły, idźcie ztąd.

MORDOW.

I Lachy wypędzają, — pójdę, pójdę, tylko wódki dajcie.

GRZEGÓRZ.

My nie pijamy wódki, ale macie tu pietaczok to sobie kupcie, i bądźcie zdrowi (*daje mu pięć kopiejek*).

MORDOW (*bierze pieniądze*).

Spasibo! praszczajcie!.... E, car, ruskoje prawielstwo, wot im służyć, tak i palaki w końcu za drzwi wyrzuca (*wychodzi*).

STANISŁAW.

Czy to tacy u was byli urzędnikami?

JĘDRZEJ.

A tacy, tacy. Żaden ucziwy moskal nie chciał

pójść na djejatiela do Polski, to też ci, co tutaj przyszli to wszyscy prawie tak kończyli, jak ten coście go widzieli.

FIGUŁKA.

Już to szelmostwo, coś chciałem powiedzieć, nigdy na dobre nie wyjdzie.

(*Słychać muzykę, wszyscy się oglądają na drzwi, wchodzi muzyka, za nią wchodzi starzec ciemny, prowadzi go chłopiętko, za nimi kobiety i dzieci, muzyka przestaje grać*).

STARZEC.

Bóg z wami moje dzieci, Bóg z wami! Choć was oczy moje nie widzą, ale słyszą uszy i czuje serce, żeście wrócili. Przychodzę was powitać. O witajcie nam witajcie drodzy bracia!... Już się skończyła niedola nasza! Ja szczęśliwie dokonam żywota wiedząc, żeście wrócili na ojcyste progi.

(*Wszyscy mężczyźni podchodzą do niego i całują go w rękę lub ściskają*).

A, to Jędrzej, (*dotyka go po głowie*). Witajcie nam Jędrzeju!

To Grzegórz, (*dotyka go po głowie*). Sołtys nasz ucziwy.

To Eliasz, (*dotyka go jak tamtych*). Walny człek.

A, to Filip, Filip (*dotyka go jak tamtych*).

Ktoby to był? (*dotyka go po głowie*) to jakiś młody, czy to nie Ignacy zięć Jędrzeja?

IGNACY.

Ja jestem, dziaduniu ja (*całuje go w rękę*).

STARZEC.

Chwała Bogu, żeście wrócili i zdrowi.

JĘDRZEJ.

Prosimy dziadunia siadać. (*Starzec siada*).

MAKRYNA.

Ja chociem stara, ale tak jestem szczęśliwa, żebym się w taniec puściła.

FIGUŁKA.

A to ze mną pani Makryno, coś chciałem powiedzieć.
(*Stają naprzeciw muzyki parami, Figułka z Makryną na przodzie*).

FIGUŁKA.

(śpiew)

Zagrajże nam tego co to....

Co to wiecie.... a z ochotą,

Tak okrutnie, żeby cała

Nasza Polska usłyszała,

Tak już przez moc wszelką siłą!

Żeby raz już dobrze było.

(*tańczą, potem stają naprzeciw muzyki i Figułka śpiewa*):

Od Warszawy do Krakowa,

Już nam się złe nie uchowa,

Od Krakowa do Górali,

Od Górali jeszcze dalej.

(Muzyka gra, tańczą).

Ząsłona spada.

*) Wiersz Lenartowicza.

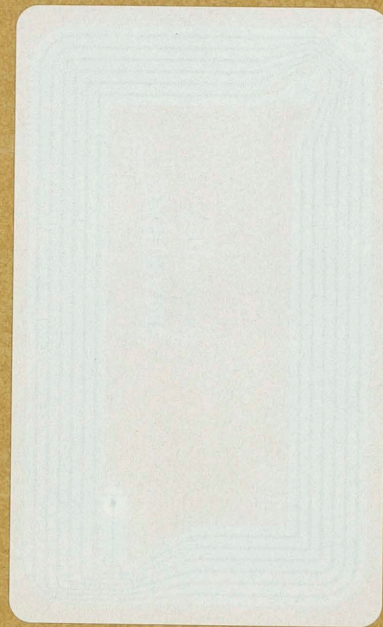
KONIEC AKTU PIĄTEGO I OSTATNIEGO.



300. 302 ~~302~~

10.VII.68

1200, - 167511



821.162.1

Smoczyński
Wesele

63280